№ 30 Warszawa, dnia 11 (23) Lipca roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we
LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar.
w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

POTOP BIBLIJNY

i

peryodyczne potopy ziemi.

(Dokończenie.)

Rok na biegunach ziemi, z powodu przechylania się kuli ziemskiej, ma tylko dzień jeden i noc jedną trwające bez przerwy po miesięcy sześć. W lecie czyli w dzień, słońce tam wcale nie zachodzi, w zimie zaś, noc przedstawiającej, wcale nie ukazuje się nad horyzontem, a gdy na północnym biegunie panuje dzień, południowy pogrążony jest w cieniach nocy i odwrotnie. Wiemy, że w dzień ziemia otrzymuje ciepło, w nocy zaś traci je przez promieniowanie. Jeżeli zatem jeden biegun w ciągu licznych lat ma dłuższy cokolwiek swój dzień sześciomiesięczny, to zyskuje corocznie pewną ilość ciepła, gdy pod ten czas przeciwległy biegun, mając dłuższą noc, traci podobną ilość ciepła i tyleż mniej odbiera od słońca.

Wyobraźmy sobie teraz ziemię w ciągu tysięcy lat niezmiennie wirującą około słońca. Wtedy niezależnie od drobnych naszych pór roku, mijających jak uderzenie pulsu, ujrzymy inne olbrzymie, roku Platona, z których każdy trwa 21,000 lat naszych. W czasie każdego takiego roku ziemia przechodzi przez dwie epoki, ma zimę i lato w tym samym porządku następujące po sobie co i nasze drobne zimy i lata.

Zima na północnej półkuli cechuje się obficie nagromadzonemi lodami przy biegunie, wtedy właśnie, gdy na południowej lody są małe i panuje łagodniejsza, letnia pora.

Widok ten powoli się zmienia. Słońce poczyna topić lody północne, na południowym zato biegunie nastaje zima, lody wzrastają, piętrzą się i zamrażają klimat okoliczny. Oto słaby, lecz prawdziwy obraz wieczystego ruchu w przyrodzie — dla której przestrzeni ani czasu człowiek zakreślać nie może.

Jeszcze przez chwilkę zatrzymamy czytelnika przy tych lodach przybiegunowych — aby pokazać, jaki związek istnieje między lodami wiecznemi a potopem. Przypuśćmy, że ziemia nie posiada lodów podbiegunowych, że jest ze wszystkich stron jednakowo otoczona wodami, oraz że punkta przesileń dnia z nocą są na tem stanowisku, na jakiem były przed 1248 rokiem ery chrześciańskiej. Wtedy, podczas nocy (zimy) na biegunie południowym dłuższej o 168 godzin, zbierze się lodu więcej, niż na półkuli północnej. Na następny rok przybędzie nowa niewielka przewyżka i t. d. Lody te długo będą pływającemi, ale po tysiącach lat na obu biegunach zgromadzą się ogromne mroźne masy sięgające do dna. Od tej chwili lody, niemogąc rozrastać się wgłąb, będą rosły wszerz i na wysokość. Ponieważ przytem masa lodów południowych będzie większą od masy lodów północnych, więc bardziej ochłodzi klimat okoliczny. Oziębienie to sprawi, że nawet rozpuszczone na powierzchni lody przybiegunowe nie będą się zmniejszać jakby mogły, bo powstała na ich powierzchni woda natychmiast zamarza i zostaje ponownie uwięzioną. W takim stanie rzeczy, wskutek nierównej objętości i wagi dwóch podbiegunowych mas lodowych, środek ciężkości ziemi zostanie zmienionym. Oddali się on od prawdziwego centrum ziemi a posunie bliżej do bieguna południowego, i to w miarę powiększania się masy lodów. A ponieważ wody na powierzchni ziemi, jako ciało płynne, wypełniają wszystkie nierówności dna i układają swą powierzchnię do kształtu kuli, ulegając prawu przyciągania do środka ziemi, — posuwający się przeto w kierunku osi ku masie lodów punkt ciężkości globu naszego, pociągnie za sobą ruchomą powierzchnię wody. Rezultatem będzie tu większa głębokość południowych mórz, a opadnięcie o odpowiednią ilość wód na półkuli północnej. Tak nierówno nagromadzone masy jeszcze wciąż rosną, ale nareszcie dzień na biegunie południowym stanie się dłuższy o dni 7, i lody topniejąc, zmniejszać się poczną, a na biegunie północnym wzrastać. Powtórzy się toż samo zjawisko przenoszenia się środka ciężkości ziemi i idące za niem opadanie mórz południowych oraz wznoszenie się wód na północy. Będzie to działanie powolne, lecz z czasem może ono wywołać straszną katastrofę. Lody bowiem bieguna północnego doszedłszy do kresu swego rozwinięcia, przeciągnąwszy środek ciążenia przez równik na północną półkulę, sprowadzą tem samem masę wód z południa na północ. Lody południowe, niestopione jeszcze, jako materya stała, niemogąca ułożyć się do równowagi, będą sterczeć podawnemu, wytrzymując coraz silniejsze przyciąganie ziemi, aż wreszcie podmyte i popękane, nie zniosą strasznego ciśnienia własnej masy i załamując się, runą w morze. W tejże chwili wskutek zmiany środka ciężkości globu, wody, pędząc z południa olbrzymiemi falami, zanim się ustalą, rozleją się po całej kuli ziemskiej i mogą zatopić na krótki czas wszystkie lądy *).

*) T. Skomorowski tak mówi o tej chwili: Tym sposobem prąd wodny, ten potok kołowy, od bieguna idący ku równikowi, nietylko się nie zniża, ale przeciwnie dosięga znacznej wysokości w pasach umiarkowanych i zatapia nawet wierzchołki, które były po nad poziomem morza. Tak więc w chwili prądu biegunowego, cała powierzchnia ziemi bywa zatopiona w ciągu

Otóż mamy hipotezę Adhémara, hipotezę *przelewania się peryodycznego mórz*, tłomaczącą potop. Widzimy, że nie jest to teorya stworzona dla wytłomaczenia potopu, bo ten ostatni wypływa w niej z zastosowania praw rządzących przyrodą, i gdyby się nawet okazało, że przyczyny tu wskazane nie były w stanie wywołać potopu, że np. mogło mieć miejsce tylko powolne załamywanie się lodów, to i tak całość podstaw hipotezy nie zostałaby naruszoną. Badania późniejsze mogą co najwyżej dodać jeszcze jakąś nowo wyśledzoną przyczynę, która połączona z dziś znanemi, kataklizm wywołała, lub co najwyżej dowieść, że owego kataklizmu nie było.

Pewności, że tak być musiało, jak powiada autor hypotezy, nie mamy po dziśdzień, bo dotąd nauka posiada bardzo niewiele danych, tyczących się natury lądów przybiegunowych. Wiadomości zaś takie są nieodbicie potrzebne do stanowczego rozstrzygnięcia pytania.

Autor wydałby więc teoryę swoją na łup przeciwników, gdyby czekał na obserwacye, które faktycznie dowiodą, że przypuszczenia jego są prawdziwe. W braku faktów, stara się on rozwiązać nasuwające się tu wątpliwości na innych drogach. I dlatego też powiemy, że teorya Adhémara nie jest pozbawioną gruntownych podstaw nawet w rzeczach, których naukowo dowieść niemożna i w których przestajemy na domysłach.

Autor, nie mając ścisłych danych, nie zawahał się użyć do rachunku cyfr i przypuszczeń niekorzystnych dla swej teoryi; przyjmuje np. gatunkowy ciężar lodu podbiegunowego za równy ciężarowi lodu zwykłego lub alpejskiego — gdy tymczasem okazało się, że lody podbiegunowe są zbitsze a tem samem stosunkowo cięższe.

Przez to pewność skutków, uzasadnionych przez Adhémara, zwiększa się znakomicie.

Dowodzenie to ściśle naukowe, pan Majewski Erazm popiera obserwacyami na całym globie ziemskim robionemi: o stosunku mórz do lądów, różnicy w ich głębokościach, o wzrastaniu lodników w Alpach, które bardzo przemawiają na korzyść teoryi Adhémara, a jednak nastręczają ważne wątpliwości trudne do wyjaśnienia.

I tak powiada pan E. Majewski, że jak małe pozornie przyczyny sprawiają regularne następstwa pór roku, dnie i noce, tak też w ciągu długiego peryodu, trwającego lat 21,000, wedle teoryi Adhémara, małe coroczne przewyżki ciepła lub zimna, pojedynczo nic prawie nieznaczące, rodzą potężne zjawiska.

Nie przeczymy temu; przewyżki te rzeczywiście są bardzo małe z chwilą przemiany ich z jednej półkuli na drugą, rozpoczynają się nie nagle tak, aby odrazu trwanie zimy na jednej półkuli zwiększało się o dni siedm a na drugiej o tyleż skracało, ale stopniowo, po ilości czasu trudnej nawet do pojęcia, i dopiero w ostatnim półroczu Platona, czyli po upływie lat 10,499, przewyżka ta dochodzi do pełnych dni siedmiu.

Autor nie wziął jednak tego w rachubę, a różnica ztąd wielka wynika, w której nie idzie nam tyle o ilość czasu, tylko o powolność działania tak wielką, że wymyka się z pod oceny jej wielkości, stając się abstrakcyą, niejako atomem trudnym do pojęcia. Jeżeli zatem tworzenie się lodów przy jednym z biegunów, ich wzrastanie, rozszerzanie się, tak powolnie następuje, dlaczegożby i ich następne topienie się nie miało podobnie wolną iść drogą? Zdaje się, że to jest nieodzownem, przelewanie zatem peryodyczne mórz może się odbywać, ale nigdy tak gwałtownie, jak również i topienie się lodów przez czas tak długi tworzących się. Autor nie przeczy temu ale przypuszcza, że lody sterczące nad powierzchnią wody, podmyte i popękane, załamią się i runą w morze i tym sposobem sprowadzą kataklizm zalewu.

dosyć długiego czasu, stosownie do większej lub mniejszej prędkości zapadania się lodów biegunowych. Tylko wierzchołki wysokich łańcuchów gór, wyciągniętych w kierunku ruchu wód, oraz obszerne, zbyt wzniesione wyżyny, mogą nie uledz zalaniu przez wody.

(Epoka lodowa ziemi. Str. 57.)

Nie możemy podzielić tego przypuszczenia: powolność działania ustrzeże lody od tej ostateczności, ciepło topiąc powierzchnię ich, nie wnika do ich wnętrza, a ono tylko jedno mogłoby je rozsadzić. Gdyby wreszcie góry podobne zapadały się w morze, tak jak to autor przypuszcza, to i tak zapadanie to nie odbyłoby się zbiorowo wszystkiemi lodami, ale pomału, koleją, odpowiednio do gór tych wielkości i ich ukształtowania. Takie zaś stopniowe zapadanie się gór lodowych, choćby największych, nie mogłoby wywołać zalewu, aż całej jednej półkuli. Nastąpiłoby to tylko w takim razie, gdyby masy lodowe równe były masie wody w którejby pływały lub mało od niej mniejsze, i gdyby nagle razem zapadłszy się, siłą swego spadku i ciężaru wyparły wody z łożyska i pchnęły je na drugą półkulę. Katastrofa podobna przedstawia się w wyobraźni naszej jak kamień duży spadający w jakiś naciek wody, którą na brzeg wyrzuca. Przypuścić jednak, aby w podobny sposób odbyło się zapadnięcie gór lodowych na całym obszarze oceanów przybiegunowych, jak to wyżej powiedzieliśmy, jest niepodobieństwo.

Nie rozumiemy także dowodzenia autora co do zmiany środka ciężkości ziemi przez nagromadzenie się większej ilości wody i lodów przy jednym biegunie jak przy drugim, i pociągania za sobą ruchomej powierzchni wody. Środek ten ciężkości może byc tylko idealny a nie rzeczywisty, bo siła przyciągania do środka ziemi na całej kuli jest równie działająca i woda wszędzie dążąca do najniższego poziomu. Być może, że autor punktu tego należycie nie objaśnił, uwagi też tej nie robimy sposobem zarzutu, tylko zapytania.

Autor wreszcie przytacza fakta widocznego oziębiania się naszej półkuli i tem popiera dowodzenie swoje, iż obecnie biegun nasz północny przechodzi porę zwiększonej zimy o dni siedm, i że tym sposobem powiększające się tam lody, klimat nasz coraz bardziej oziębiają. Na poparcie tego przytacza dowody ustania uprawy winnych krzewów, różnych zbóż i drzew, przed kilką wiekami jeszcze uprawianych w tych miejscowościach, w których obecnie klimat na ich produkcyą nie pozwala. Są to zapewne rzeczy niemałej wagi, ale gdyby to oziębienie się klimatu naszego było następstwem przedłużenia się zimy przy biegunie o dni siedm, toby znacznie wolniej następowało i byłoby prawie niewidocznem. Tymczasem to oziębienie się według dowodów przytoczonych przez autora, idzie niezmiernie szybko, przynajmniej parę stopni w ciągu wieku, jeżeli winnice u nas w w. XV były powszechne a dziś brak ich zupełny. Jakiż więc byłby dzisiaj nasz klimat gdyby oziębianie się jego od roku 1248 miało miejsce, a jakiż będzie za lat kilkaset? Jeżeli w ciągu czterech wieków klimat do tyla się oziębił, że zniszczył uprawę winnej latorośli, to za drugie cztery wieki już dojrzewanie zboża stanie się trudnem a może i niepodobnem. To zaprędki postęp, niepodobny do przypuszczenia.

Otóż to są wątpliwości, które się nam przy czytaniu pracy p. Majewskiego nastręczyły: zgadzamy się w niej na wiele rzeczy, wszelkie dowodzenia przytoczone są zarówno ciekawe jak i wielce nauczające; peryodycznemu przelewaniu się wód morskich nie stawiamy opozycyi, bo tego ciągły ruch rozlany w naturze, wymaga nawet, ale ponowienie się zalewów podobnych do potopu biblijnego, jakoś nie trafia nam do przekonania. Wreszcie ma on dopiero nastąpić za lat 6,500.

W każdym razie broszurę p. Majewskiego, jako bardzo ciekawą i przystępnie napisaną, polecamy wszystkim. Złożyły się na nią wyniki pracy naukowej wielu wieków, godzi się więc aby znalazła się w rękach poważniej myślących, bo jak powiada pan Majewski: ludzkość pierwotna otrzymała ostrzeżenie w osobie Noego od samego Boga: dziś Bóg przez naukę ogłasza światu takież ostrzeżenie... Pamiętajmy że prawa natury są niewzruszone!

Co do popularności samego wykładu, jest on bardzo przystępnie napisany, ale posiada niektóre szczegóły naukowe bez objaśnienia należytego i to w głównej kwestyi, peryodycznej zmiany ciepłych i zimnych pór roku przy obu biegunach. Sprawiać ma ją przyspieszenie punktu przecięcia osi ziemi z płaszczyzną elipsy przy *perihelium* skutkiem większego przyciągania ziemi. Według Ptolomeusza, przecięcie to posuwa się co rok w kierunku biegu ziemi, otóż brak tu wytłomaczenia, czy owo przyspieszone przecięcie odbywa się z opóźnieniem jego w punkcie odsłonecznym i czy zmiana tych przecięć przechodzi całą elipsę przez bieg ziemi opisywaną, czy tylko jej połowę w półkolu przysłonecznem. Nadto nieobjaśniono, jakim sposobem fakt ten po upływie lat 10,500, sprawia przemianę przewyżki ciepłych dni siedmiu, z jednej półkuli na drugą.

Gdyby to należycie było objaśnione, wykład byłby zupełny, nic nie pozostawiając w wątpliwości dla czytelnika niewtajemniczonego fachowo w naukę astronomii. Dodatkowe wytłomaczenie tych kwestyj chętnie przyjmiemy do naszego pisma, o co nawet szanownego autora prosimy.

Do W*** W***

Chcesz-że ty wiedzieć o czem ja marzę,
W ciszy szpaleru, błądząc samotnie,
Kiedy słowiki — znani nudziarze,
Pieśń swoją tkliwą nucą zalotnie?

Ja ich nie pytam co ta pieśń znaczy,
Jaka w niej nuta brzmi najwyraźniej,
Czy łza miłości, uśmiech przyjaźni,
Skarga zawodu, lub jęk rozpaczy?

Ani też wiedzieć nie pragnę o tem,
Dlaczego na tej ziemskiej przestrzeni
Słońce przyświeca promieniem złotym,
A tyle kwiatów więdnie wśród cieni?

I nie rozważam, patrząc na gwiazdy,
Czem są iskierki, te wielkie słońca,
Co pośród planet powietrznej jazdy
Mogą stać w miejscu do świata końca...

Mnie nie zajmują w społecznym ruchu
Dzieje serc ludzkich, lub dźwięki monet,

Nie! tylko nad tem rozmyślam w duchu,
Kiedy też do mnie napiszesz sonet?...
Emilia.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez
ALEKSANDRA DUMASA.
Przekład
J. B.

(Dalszy ciąg.)

TOM II.

XXII.

Wypowiedzenie wojny.

O jedenastej rano, dnia 15 czerwca, stawił się u króla hanowerskiego hrabia Platen von Hallermund. Rozmawiali czas jakiś, poczem król rzekł:

— Zaczekaj pan tu na mnie, wrócę za kwandrans, chcę tylko zawiadomić o tem królową.

Chodząc wewnątrz pałacu, król Jerzy nie potrzebował, aby go ktoś prowadził. Królowa Marya, wraz z księżniczkami zajęta była haftem; spostrzegłszy wchodzącego męża podeszła ku niemu, podając mu czoło do pocałunku. Księżniczki ujęły ręce ojca, całując je z uszanowaniem.

— Oto przynoszę co *ukochany nasz kuzyn* król pruski pisze nam za pośrednictwem swego pierwszego ministra, rzekł król.

Królowa wzięła papier, chcąc go przeczytać.

— Zaczekaj, rzekł król, każę prosić księcia Ernesta.

Jedna z młodych księżniczek podbiegła ku drzwiom przedpokoju, i otworzywszy je kazała prosić księcia Ernesta. W jakie pięć minut potem książę wszedł do sali, uściskał ojca i siostry, matkę pocałował w rękę.

— Słuchaj co matka przeczyta, rzekł do niego król.

Minister Boesewerk, w imieniu króla, swego pana, ofiarował Hanowerowi przymierze zaczepno-odporne, z warunkiem, że odpowiednio swej możności popierać będzie Prusy, odda im wojsko swoje do rozporządzenia, powierzając dowództwo królowi Wilhelmowi. W końcu depesza oznajmiała: że jeźli ta pokojowa propozycya nie będzie natychmiast przyjętą, król pruski wypowiada wojnę Hanowerowi.

— Cóż mówisz na to? rzekł król do żony.

— Zapewnie sam już, królu, w mądrości swojej postanowiłeś jak w tym razie postąpić; jeźli jednak stanowcze postanowienie nie zapadło jeszcze, i jeźli zdanie kobiety może coś ważyć na szali, to powiedziałabym: „Naj. panie, daj odpowiedź odmowną!"

— O! tak, tak, najjaśniejszy panie, trzeba odmówić.

— Chciałem właśnie zasięgnąć waszej rady, odrzekł król, najpierw dlatego że cenię waszą prawość i zdrowy sąd o rzeczach, a powtóre, że nas wszystkich zarówno to obchodzi.

— Trzeba odmówić, mój ojcze, niechże przepowiednia spełni się w zupełności.

— Czy zapomniałeś, naj. panie, iż Benedykt Turpin powiedział, „że będziesz zdradzony przez blizkiego krewnego" — wszakże jest nim król pruski? Skoro więc sprawdza się początek przepowiedni, dlaczegóż dalsza część jej nie miałaby się ziścić.

— Wiesz przecież, iż przepowiedział utratę tronu?

— Tak, ale poprzedzoną wielkiem zwycięztwem. Jesteśmy królami małego królestwa, ale ród nasz zalicza się do najznakomitszych, postępujmy więc z odpowiednią mu godnością.

— Takie jest twoje zdanie, Erneście?

— Taką zanoszę prośbę, naj. panie, odrzekł książę z głębokim ukłonem.

Król zwrócił się z zapytaniem do żony.

— Postąp według swego zdania, naj. panie, wiem, czuję, że zgadza się z naszem.

— Ale cóż się stanie z tobą i dwoma księżniczkami, jeźli będziemy zmuszeni opuścić Hanower?

— Pozostaniemy tu w naszym pałacu Herrenhausen; w najgorszym razie, wszak król pruski jest moim kuzynem, i tronowi tylko naszemu a nie życiu grozi od niego niebezpieczeństwo. Zwołaj, królu, Radę korony i ponieś na nią dwa nasze głosy: „Nietylko nie zdradzimy innych, ale nadewszystko nie zdradzimy własnego honoru."

Król zwołał radę ministrów: jednogłośnie zagłosowano, aby odrzucić propozycye Prus.

O północy hrabia Platen dał sławną odpowiedź księciu Issemberg, który doręczył depeszę:

„J. k. mość król hanowerski, odrzuca propozycye j. k. mości króla pruskiego, zgodnie z obowiązującemi prawami związkowemi."

Tę odpowiedź przesłano natychmiast do Berlina; jednocześnie z jej odebraniem wysłano z Berlina depeszę, aby wojska konsystujące w Minden weszły do Hanoweru. Przeszły granicę hanowerską w kwandrans po północy.

Kwandrans czasu dostatecznym był na wydanie rozkazu i rozpoczęcie kampanii. Już nawet przed odebraniem odmowy Hanoweru, wojska pruskie, którym król Jerzy pozwolił przejść przez swoje królestwo dla wejścia do Minden, rozłożyły się w Harburgu, zajmując kraj jak nieprzyjaciele.

Król Jerzy jedynie dla przygotowania pewnych środków obrony, odwlókł odpowiedź do północy; wydano niezwłocznie rozkaz różnym półkom hanowerskim, aby wyruszyły zaraz i zebrały się w Getyndze. Król chciał, aby wykonano manewr dozwalający wojskom jego połączyć się z armią bawarską.

Około jedenastej, książę Ernest przysłał prosić królowej Maryi, aby mógł przyjść pożegnać się i zarazem przedstawić młodego Francuza, Benedykta Turpin, pragnął bowiem, aby matka jego pozwoliła chiromancie obejrzeć swoję rękę, ażeby znając oczekujące ją może niebezpieczeństwa, łatwiej można było im zapobiedz.

Królowa uściskała syna i uprzejmie przywitała Francuza. Książę Ernest oznajmił matce w jakim celu przybył; królowa uśmiechnęła się i podała rękę. Benedykt przyklęknął na jedno kolano i pocałował z uszanowaniem końce jej palców.

— Panie Turpin, rzekła, w trudnych obecnych okolicznościach zapewnie smutne tylko wypowiesz mi wróżby.

— Jeźli, naj. pani, przewidujesz same smutki i niepowodzenia, racz pozwolić mi odszukać sił jakich udzieliła jej Opatrzność do walczenia z niemi, i miejmy nadzieję, że opór będzie potężniejszym i przemoże walkę.

— Jakże słabą jest dłoń kobiety do walki z ręką przeznaczenia! rzekła królowa.

— Ręka przeznaczenia jest tylko siłą brutalną, rzekł Benedykt, zaś ręka naj. pani przedstawia siłę moralną. Widzimy zaraz jak długim jest pierwszy staw dużego palca.

— A cóż to ma oznaczać? zapytała królowa.

— Wielką siłę woli. Skoro naj. pani raz poweźmiesz postanowienie, tylko rozumowaniem i przekonaniem możnaby skłonić ją do jego zmienienia — ale nie dokażą tego żadne wypadki, zdarzenia a nawet prześladowanie.

Królowa uśmiechnęła się i potwierdzająco skinęła głową.

— Nie będę ukrywać prawdy — wielkie nieszczęście zagraża w. k. mości.

Królowa drgnęła.

— Ale bądź pani spokojna, nie jest to bynajmniej śmierć króla ani następcy tronu, u nich linia życia jest wyborna... Zdaje się jest to nieszczęście polityczne... Oto linia powodzenia złamana po za linią Marsa, co wykazuje z której strony burza nadchodzi. Dalej linia ta, która mogłaby zapowiadać zwrot pomyślniejszy gdyby się kończyła przed rozpoczęciem średniego palca, to jest Saturna, wchodzi aż w pierwszy jego staw, co wróży nieszczęście.

— Bóg doświadcza każdego stosownie do sił i zajmowanego stanowiska, jeźli nie będziem mogli znosić nieszczęścia jako królowie, zniesiemy je jako chrześcianie.

— Toż samo mówi ręka w. k. mości. Góra Marsa jest pełna i bez zmarszczek, góra Księżyca pełna i gładka, co dowodzi rezygnacyi, tej najświętszej, najgłówniejszej ze wszystkich cnót. Nią ożywiony Sokrates, z uśmiechem oczekiwał śmierci, nią silny biedak, jest królem, król bożkiem. Rezygnacya i spokój pozwalają zwrócić ku dobremu każdą rozwiniętą i oznaczoną na ręku namiętność; one jedne mogą zastąpić linią powodzenia i nowe wytworzyć szczęście.

„Ale ręka w. k. mości zapowiada długą walkę i dziwne przedstawia znaki, najsprzeczniejsze jedne z drugiemi. Według nich czeka w. k. mość więzienie bez więzienia, bogactwo bez bogactw. Nieszczęśliwa jako królowa, pozostaniesz szczęśliwą żoną i matką. Bóg będzie cię doświadczać, królowo, ale jak doświadcza najukochańsze dzieci swoje, dla których łagodzi ostrze zadanych ciosów."

— Ciosów dotykających do żywego, rzekła z westchnieniem królowa, wznosząc oczy ku niebu. Ale kto wie, może nieszczęścia przecierpiane na tym świecie, dopomagają do dostąpienia wiekuistej szczęśliwości — myśl ta nietylko daje siłę poddania się ale przejmuje pociechą.

Benedykt skłonił się z uszanowaniem, spełniwszy co od niego żądano, czekał rozkazu odejścia.

— Czy masz pan siostrę? zapytała go królowa, wziąwszy w rękę sznur pereł spięty brylantową klamrą — zapewnie należący do jednej z księżniczek.

— Nie, odrzekł Benedykt, jestem sam jeden na świecie.

— Więc przyjm pan ode mnie ten turkus; nie jest to podarunek, bo nie ma odpowiedniej wartości, uważaj go pan jako *porte-bonheur*; wiadomo panu, iż ludy Północy wierzą w to, że turkus przynosi szczęście; zachowaj go jako pamiątkę ode mnie.

Benedykt podziękował ukłonem i włożył pierścionek na swój mały palec.

Królowa zbliżyła się do syna, trzymając w ręku woniejące, skórką pokryte *sachet*.

— Kochany synu, rzekła, wiadomo zkąd pierwszy idzie na wygnanie, ale niemożna wiedzieć gdzie się zatrzyma ostatni. W tem sachet mieści się

za pół miliona pereł i dyamentów, weź je z sobą choćby dla przekupienia strażników, gdyby, nieszczęściem, ojciec twój lub ty dostałeś się do więzienia... Może także będziecie mogli wynadgrodzić tem poświęcenie — a może wypadnie wam użyć tego na własne potrzeby. Ukryj je i noś zawsze przy sobie. Są na niem twoje litery moją wyhaftowane ręką... Ojciec idzie, nie wspominaj mu o tem.

Jakoż w tej chwili wszedł król Jerzy.

— Nie ma ani minuty do stracenia, trzeba nam ruszyć; przed dziesięciu minutami Prusacy weszli do Hanoweru.

Uściskał żonę i córki, książę Ernest matkę i siostry, i wszyscy razem udali się na peron, przed którym czekały na nich konie.

Tu nastąpiło ostatnie pożegnanie: tak najmężniejszym, jak najwięcej zrezygnowanym bujne łzy pociekły z oczu.

Król dał przykład męztwa, pierwszy wsiadając na konia. Księciu Ernestowi i Benedyktowi podano jednakowe wierzchowce, pochodzące z tej pięknej rasy hanowerskiej, połączonej z angielską. Przy siodle wisiały karabiny angielskie donoszące o 1400 metrów, doskonałe pistolety spoczywały w olstrach.

Już siedząc na koniach, król i książę Ernest zamienili ostatnie pożegnanie z królową i księżniczkami, poczem orszak ruszył śpiesznie, poprzedzony lauframi z chorągwiami. Za kwandrans przybyli do Hanoweru.

Benedykt wpadł do *Hotelu Królewskiego* dla uregulowania rachunku z właścicielem. Wszyscy tu byli na nogach, albowiem rozeszła się już wiadomość o wejściu do kraju Prusaków i o wyjeździe króla. Lenhart ze swoim kabryoletem przyłączył się do armii głównej.

Wiadomo już, że zbierano się w Getyndze.

Lenhart bardzo się poprzyjaźnił z Frygą, i Benedykt pozwolił mu zabrać psa z sobą.

Deputacya obywateli miasta, z burmistrzem na czele, czekała na króla, aby go pozdrowić i pożegnać. Król, polecił im swoją żonę i dzieci, łzy drgały w jego głosie. Wszyscy jednozgodnie przyrzekli mu czuwać nad ukochaną rodziną królewską; cała ludność miasta odprowadzała go wykrzykując nieustannie:

— Niech żyje król! niech żyje Jerzy V-ty! oby Bóg dał mu zwycięztwo!...

Powtórnie, już nie deputacyi ale całej ludności miasta król polecił królowę i księżniczki. Poczem wsiadł do wagonu królewskiego, żegnając łzami i głośnem łkaniem poddanych. Możnaby myśleć że każde dziewczę żegna ojca, każda matka syna, każda siostra brata.

Kobiety rzucały się na stopnie całując ręce króla; pięć czy sześć razy rozległ się gwizd lokomotywy, kilkakrotnie dawano znak odjazdu, zanim zdołano oderwać cisnących się do drzwiczek wagonu. Mimo to, z początku pociąg zaledwie się poruszał, potrzebowano pewnego czasu na uwolnienie się od oblegających go mężczyzn i kobiet.

We dwie godzin potem przybyli do Getyngi.

XXIII.

Bitwa pod Langensalza.

We dwa dni później, wojska ściągnięte z całego kraju, otaczały króla. Między innemi, pułk huzarów królowej, którym dowodził pułkownik Hallett, był przez trzydzieści sześć godzin w marszu, i przez ten cały czas nie zsiadał z koni.

Król stanął w hotelu *Pod koroną*, stojącym przy drodze, którą wojsko musiało przechodzić; jak tylko nadciągał jaki pułk kawaleryi czy piechoty, król posłyszawszy muzykę wychodził zaraz na balkon i odbywał przegląd. Jeden za drugim defilowały tak z kolei pod balkonem, radośnie, z bukietami kwiatów przy kaskach, wydając pełne zapału okrzyki. Spokojna Getynga, miasto oddane nauce, drżała teraz zapałem, podniecana wojowniczemi okrzykami.

Starzy urlopowani żołnierze, których zawezwać nie było czasu, sami biegli stanąć pod chorągwią; wszyscy szli z radością, licznych po drodze zbierając ochotników. Pietnastoletni wyrostki przybywali dodając sobie lat, aby ich przyjęto do wojska.

Trzeciego dnia nastąpił wymarsz.

Prusacy także odbywali jednocześnie swoje manewra.

Jenerał Manteuffel nadciągał z Hamburga, jenerał Rabenhorst z Minden, jenerał Beyer z Wetzlaru, podsuwając się pod Getyngą, aby w trójkącie zamknąć wojska hanowerskie.

Najprostsze zasady strategiczne nakazywały, aby szesnastotysięczna armia hanowerska, złączyła się z bawarską, liczącą 80,000 ludzi. Król Jerzy wysłał w tym celu kuryera do księcia Karola bawarskiego, brata króla Ludwika, aby go zawiadomić, że się zwraca ku Eisenach, przechodząc przez Mulhausen. Dodał, że nadciągają za nim trzy czy cztery korpusa pruskie, mogące liczyć 20 do 25,000 żołnierzy.

Przez Werkirchen wojska doszły pod Eisenach, broniony jedynie przed dwa bataliony pruskie, i już miano uderzyć i zdobyć, go, gdy nadbiegł kuryer od księcia gotajskiego, na którego terrytoryum stało wojsko, z bardzo pilną depeszą, zawiadamiającą, że zawarte zostało zawieszenie broni. Z tego tytułu książę wzywał Hanowerczyków do odwrotu. Ponieważ depesza przychodziła od księcia nie podejrzywano jej prawdziwości. Awangarda zatrzymała się gdzie ją zastała depesza—a nazajutrz Eisenach zostało zajęte przez Prusaków.

Zdobywanie Eisenach kosztowałoby wiele czasu i ludzi, postanowiono więc odstąpić z pod niego i zwrócić się ku Gotha. Dla dokonania tego, armia skoncentrowała się pod Langesalza.

Król wyjechał nazajutrz rano, mając po lewej stronie majora Schweppe, który na trudnej do dostrzeżenia uzdzie, prowadził konia monarchy. Książę Ernest jechał po prawej stronie króla, obok niego hrabia Platen, pierwszy minister, za nimi główny sztab.

Orszak ten bardzo rano opuścił Langesalza, udając się do Thannesbruck. Benedykt jechał za księciem następcą, w charakterze oficera ordynansowego.

Armia zwróciła się ku Gotha; ale o dziesiątej rano, awangarda dochodząca brzegów Unstrutu, została zaatakowana przez dwa korpusy pruskie, dowodzone przez jenerałów Flies i Seckendorff. Liczyły one około 16,000 żołnierzy, złożonych z pułków gwardyi, liniowych i landwery, a między nimi z wyborowego pułku gwardyi królowej Augusty.

Szybkość wystrzałów pruskich była niezwykła, że co najmniej, większa część żołnierzy, musiała być uzbrojona w iglicówki.

Król popędził galopem, aby jak najprędzej przybyć na miejsce gdzie walka stoczyć się miała, i kazał sobie zdać sprawę z położenia.

Z lewej ku prawej stronie, miano przed sobą Unstrut i jego bagniska; dalej zarośla, a raczej mały lasek Badewaldchen. Po za Unstrutem, na pochyłości wzgórza, zbiły się wojska pruskie, poprzedzane artyleryą, dającą ciągle ognia wśród marszu.

— Czy jest gdzie jaki punkt wyniesiony, po nad pole bitwy? zapytał król.

— Tak, jest wzgórze o jakie pół kilometra, ale najwięcej wystawione na ogień nieprzyjacielski.

— Tam właśnie moje miejsce, jedźmy panowie!

— Pozwól, naj. panie, zwrócić swoję uwagę, że tuż prawie pod wzgórzem gdzie w. k. mość zamierza założyć główną kwaterę, znajduje się mały lasek olszynowy, ciągnący się aż do rzeki. Należałoby go zrekognoskować.

— Wydaj rozkaz, aby 50 tyralierów przejrzało lasek, aż do rzeki.

— Dość na to jednego człowieka, najjaś. panie, rzekł Benedykt.

I puściwszy się galopem, przeleciał cały lasek tam i napowrót i powrócił do króla.

— Nie ma nikogo, najjaśniejszy panie, rzekł salutując.

Król popędził konia i stanął na szczycie wzgórza. On tylko jeden miał białego konia, mógł więc łatwo służyć za cel kulom karabinowym i działowym. Król miał na sobie mundur jeneralski, niebieski z czerwonemi wyłogami; zaś następca tronu, mundur huzarów gwardyi.

Bitwa się rozpoczęła. Prusacy odparli forpoczty hanowerskie, które przebyły rzekę, i rozpoczęła się zacięta kanonada między artyleryą hanowerską stojącą pod Merxleben, a pruską rozłożoną z przeciwnej strony Unstrutu.

— Czy nie obawia się w. k. wysokość żeby Prusacy nie kazali zająć przejrzanego dopiero lasku; z jego skraju, odległego mniej niż o 300 metrów, mogliby strzelać do króla jak do tarczy celowej, rzekł Benedykt do następcy tronu.

— Więc cóż pan radzisz?

— Wziąć z 50 żołnierzy i zająć lasek; wystrzały nasze ostrzegłyby o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Książę zamienił kilka słów z królem, który zgodził się na to.

— Jedź pan, rzekł książę Ernest, ale na miłość Boską, nie dajże się zabić.

Benedykt wskazał dłoń swoją.

— Alboż to można zabić człowieka, który ma podwójną linję życia!

Podleciał galopem ku piechocie liniowej.

— Pięćdziesięciu dobrych strzelców ze mną! zakomenderował po niemiecku.

Stu wystąpiło z szeregu.

— Dobrze, rzekł Benedykt, chodźcie, może nas nie będzie za wielu!

Oddał konia huzarowi z pułku księcia następcy, i rzucił się w krzaki na czele stu tyralierów, którzy rozbiegli się po lesie.

Zaledwie znikli wśród drzew, rozpoczął się gwałtowny ogień z ręcznej broni. Dwiestu żołnierzy przeszło już Unstrut; ale nie znając liczby tyralierów dowodzonych przez Benedykta, i przypuszczając, że rozporządza daleko znaczniejszemi siłami, cofnęli się zostawiając na placu dwunastu poległych. Benedykt obsadził wybrzeża Unstrutu i dobrze utrzymywanym ogniem nie dozwalał przystępu nieprzyjacielowi.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch Aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena piąta.

PAWEŁ, JOANNA, PANI de CÉRAN i SAINT-RÉAULT rozmawiając przy drzwiach nie widząc tamtych.

Pani de Céran. Ależ nie — zrozum-że mój przyjacielu, 15, 8, 15 za pierwszym razem... Ballotują za pierwszym razem, a zatem za drugim... przecież to bardzo proste.

Saint-Réault. Proste, proste! za drugim razem, skoro mam tylko cztery głosy, co czyni, że z dziewięcioma głosami poprzedniemi, mam wszystkiego tylko 13.

Pani de Céran. A nasze 7 z pierwszego, to czyni razem 20 za drugim, zrozum-że pan!

Saint-Réault (zrozumiawszy niby). Aha!

Paweł (do Joanny). To takie proste.

Pani de Céran. Ale powtarzam panu, chodź koło Deliberta i jego liberalnych, Akademia jest w tej chwili liberalną... (z naciskiem) w tej chwili.

(Podchodzą rozmawiając naprzód.)

Saint-Réault. Albo Revel nie jest również dyrektorem młodej szkoły?

Pani de Céran (patrząc nań bystro). Aha! lecz o ile wiem, Revel nie umarł jeszcze?

Saint-Réault. Ależ nie.

Pani de Céran. Ani nie jest chory? — co?

Saint-Réault (zakłopotany). Chory... chory on jest zawsze.

Pani de Céran. A więc?

Saint-Réault. Trzeba być gotowym, bo kto wie?... muszę się tem zająć.

Pani de Céran (na str.). Coś w tem jest. (Spostrzegając Raymonda i idąc ku niemu.) Ah panie Raymond, zapomniałam o panu, przepraszam.

Paweł. Nic nie szkodzi, pani hrabino. (Prezentując Joannę.) Pani Raymond, moja żona.

Pani de Céran. Witam panią w moim domu. Znajdujesz się pani u swej przyjaciółki. (Poznając ich z Saint-Réault'em.) Pan Paweł Raymond, podprefekt z Agenis, pani Joanna Raymond, pan baron de Saint-Réault.

Paweł. Jestem tem szczęśliwszy z tego poznania, panie baronie, że byłem jeszcze bardzo młody gdy miałem zaszczyt znać znakomitego pańskiego ojca, (na str.) obciął mnie przy egzaminie.

Saint-Réault (kłaniając się). Bardzom szczęśliwy, panie prefekcie, z tego zdarzenia.

Paweł. Mniej ode mnie, panie baronie, a w każdym razie, jesteś mniej dumny.

(Saint-Réault podchodzi do stołu i pisze.)

Pani de Céran (do Joanny). Może pani wyda się dom mój zanadto nudny, lecz gniewaj się pani tylko na swego męża w razie, gdyby panią pobyt tu znudził i powiedz sobie zarazem na pociechę, że zgodzić się na coś jestto być posłuszną, i że przychodząc na świat, już nie byłaś wolną.

Joanna (poważnie). Pani hrabino, być wolną to nie znaczy robić to co się podoba, ale to co się uważa za lepsze... jak powiedział filozof Joubert.

Pani de Céran (popatrzywszy na Pawła). Słówko to uspokoiło mnie zupełnie. Zresztą, jakkolwiek ruch w moim salonie jest czysto intelektualny, jednak nie jest on bez powabu dla umysłów wyższych. I oto jak gdyby naumyślnie, dzisiejszy wieczór będzie szczególniej zajmujący. Pan de Saint-Réault ma nam właśnie przeczytać swoję pracę o Rama-Raivanie i o legendach sanskrzyckich.

Paweł. Rzeczywiście? Widzisz Joanno, jakeśmy dobrze trafili.

Joanna. Prawdziwe szczęście!

Pani de Céran. Po czem, zdaje mi się, że mogę państwu zapowiedzieć pana Bellac'a.

Joanna. Profesora?

Pani de Céran. Znasz go pani?

Joanna. Któraż z kobiet nie zna go? Jakże to będzie pięknie!

Pani de Céran. Pogawędka poufna, *ad usum mundi*, kilka słów zaledwo, ale owoc rzadki, a potem na zakończenie, odczytanie sztuki jeszcze niewydanej.

Paweł. Może wierszem?

Pani de Céran. Nieinaczej, — pierwsze dzieło młodego poety nieznanego, którego mi przedstawią dziś wieczór, a którego sztuka przyjęta została w Teatrze Français.

Paweł. To mi się nazywa szczęśliwy wypadek, który wybredni tylko u pani hrabiny znaleźć mogą.

Pani de Céran. Czy cała ta literatura nie przestrasza pani trochę?... bo istotnie wieczór taki jest poprostu straconą sposobnością zabłyśnięcia wdziękami.

Joanna (poważnie). To, co tłum nazywa czasem straconym, jest czysto czasem zyskanym, jak mówi de Tocqueville.

Pani de Céran (patrząc na nią z zadziwieniem, po cichu do Pawła). Bardzo przyjemna. (Saint-Réault, podchodzi ku drzwiom.) Cóż panie de Saint-Réault, odchodzisz?

Saint-Réault (wychodząc). Na kolej, przebacz hrabino... otrzymałem telegram... powrócę za dziesięć minut.

(Wychodzi.)

Pani de Céran. Oczywiście jest coś w tem. (Szuka na stole, do Joanny i Pawła.) Przepraszam! (Dzwoni, Franciszek wchodzi.) Dzienniki?

Franciszek. Pan de Saint-Réault zabrał je dziś rano, są w jego pokoju.

Paweł (wyjmując Journal Amusant z kieszeni). Jeżeli sobie pani hrabina życzy...

(Joanna zatrzymuje go nagle, wyjmuje „Journal des Débats" ze swojej kieszeni i podaje go hrabinie.)

Joanna. Dzisiejszy.

Pani de Céran. Bardzo chętnie, jestem ciekawą... raz jeszcze przepraszam. (Czyta.)

Paweł (po cichu do Joanny). Przewybornie! tylko tak dalej. Ten Joubert był nieoceniony, a Tocqueville nieporównany.

Joanna. Tego nie powiedział Tocqueville, to sobie ja...

Paweł. O!

Pani de Céran (czytając). Byłam tego pewną... nie traci czasu ten Saint-Réault. (Oddając dziennik Pawłowi.) Wiem już co chciałam wiedzieć a nie chcąc już dłużej zatrzymywać państwa — zaraz wskażą im ich pokoje. Obiadujemy punkt o godzinie szóstej, pod tym względem księżna jest bardzo akuratną.

Scena szósta,

Ciż, KSIĘŻNA wchodzi, za nią FRANCISZEK, który ustawia jej fotel i koszyk z robótką, i garderobiana niosąca w ręku bulion dla księżnej.

Pani de Céran. Kochana ciociu, pozwolisz że ci przedstawię...

Księżna (sadowiąc się w fotelu). Poczekaj troszeczkę... poczekaj... No, teraz dobrze... Przedstawże mi? kogo? (Przypatruje się przez lornetkę.) To chyba Raymond, o ile mi się zdaje, piękny kawał czasu nie widziałam go już.

Pani de Céran. Nie, księżno, ale pani Pawłowa Raymond, jego żona, jeżeli księżnej tak się podoba.

Księżna (lornetując kłaniającą się jej Joannę). Ładna... ona bardzo ładna... Z moją małą Zuzanną i Łucyą, mimo jej okularów, będziemy mieli trzy ładne kobietki w domu... Co prawda, nie będzie i tak za dużo. (Pije; do Joanny.) I jakimżeto sposobem, pani, taka ładna, zaślubiłaś tego szkaradnego republikanina?

Paweł (broniąc się). Księżno! ja republikanin?!

Księżna. Przynajmniej byłeś nim. (Pije.)

Paweł. Byłem tak jak i wszyscy, kiedym był jeszcze mały. To odra polityczna, mościa księżno, i każdy musiał ją przechodzić.

Księżna (śmiejąc się). Aha! odra... zabawny! (Do Joanny.) A ty, moje dziecię, jesteś także trochę wesołą?

Joanna (powściągliwie). Miły Boże, przyznaję się księżnej, że nie jestem wrogiem przyzwoitej wesołości i że...

Księżna. Rozumiem,—pomiędzy ziębą a tobą, moje dziecko, — musi być jakaś różnica. Ale tem gorzej, tem gorzej... bo co do mnie, lubię wesołych, zwłaszcza w twoim wieku. (Do garderobianej.) Zabierz (wskazuje na filiżankę).

Pani de Céran (do garderobianej). Zaprowadzisz panią Raymond do jej mieszkania. (Do Joanny). Apartament pani jest z tej strony, obok mojego...

Joanna. Dziękuję. (Do Pawła.) Chodźmy, mężu.

Pani de Céran. Nie, męża pani ulokowałam z drugiej strony, razem z naszymi pracownikami, pomiędzy moim synem i panem Bellac, w tym pawilonie, który my nazywamy tutaj trochę może pretensyonalnie: pawilonem muz. (Do Pawła.) Zaprowadzi pana Franciszek, a zdawało mi się, że tam będzie panu wygodniej do pracy.

Paweł. Przewybornie, hrabino, i za to serdecznie dziękuję. (Joanna szczypie go.) Oj!

Joanna (łagodnie). Chodźmy, mój mężu!

Paweł (po cichu). Przyjdziesz przynajmniej pomódz mi w rozpakowaniu.

Joanna. Którędy?

Paweł. Przez kurytarze, górą.

Księżna (do pani de Céran). Jeżeli ci się zdaje, że im przez takie rozłączenie przyjemność sprawiasz!

Joanna (po cichu do Pawła). Wiesz, ja jestem za dobra.

Pani de Céran (do Joanny). Może panią krępuje to rozporządzenie?

Joanna. Mnie, pani hrabino, ani odrobiny. Zresztą wiadomo pani lepiej niż komu innemu: *quid deceat quid non.* (Kłania się.)

Pani de Céran (do Pawła). Nadzwyczaj przyjemna!

(Wychodzą: Paweł na prawo, Joanna na lewo.)

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Sohag (Górny Egipt) w końcu Czerwca 1881 roku.

Według tradycyi egipskiej, sięgającej jeszcze czasu Faraonów, dzień 19 czerwca, jest dniem nader ważnym dla mieszkańców Egiptu i za pogańskich czasów był on obchodzonym nader uroczyście. W nocy bowiem z 19 na 20 tego miesiąca ma padać *„nugta"* co znaczy kropla albo rosa, która jest oznaką natychmiastowego podnoszenia się wód Nilu i peryodem chłodnego wiatru z północy, którego my dzisiaj z największą niecierpliwością oczekujemy, gorąco bowiem, szczególniej w tym roku, jest nie do wytrzymania.

W mojem mieszkaniu np., pomimo iż takowe za bardzo chłodne uchodzi, temperatura jest tak wysoka, że wszystkie sprzęty są jak nad ogniem grzane a zęby u grzebieni posklejały się prawie, tak że ich nawet używać nie mogą. Zostawiwszy zaś niedawno świecę na słońcu, na krótki czas jedynie, zastałem takową za mym powrotem zupełnie stopioną; knot tylko w postaci długiego węża pływał w tem morzu stopionej stearyny.

Przed paru dniami wyszedłem za interesem tak około 11-ej z rana, do pewnego europejczyka, którego mieszkanie już za obrębem miasta się znajduje, lecz zaledwie kilkadziesiąt kroków zrobiłem, gorący piasek tak mię w nogi zaczął palić, że natychmiast do domu zawrócić musiałem, odkładając wizytę na inny czas.

Słońce pada tu prostopadle i sypie żarem na nasze głowy, cienia własnego nawet się nie widzi, zmęczone ptactwo, ziejąc z otwartemi dziobami, kryje się w gałęziach palm i sykomorów, szukając odrobiny cienia, zwierzęta domowe porozciągane śpią jakby nieżywe w ogrodzeniach. W mieście na ulicach pusto jak wymiótł, na bazarze tylko kilka sklepów jest otwartych, w których kupcy leżą leniwie rozciągnięci na matach, szczęśliwi, że żaden z rzadkich przechodniów nie stara się przerwać kupnem ich słodkiego dolce-farniente.

Do tego już przeszło od półtora miesiąca powiewa prawie bez przestanku gorący *chamsin* lub *merisi* (*), a powietrze tak jest rozgrzane, że termometr o wschodzie słońca wskazuje 30 stopni Celsiusa, następnie podnosząc się dochodzi około południa 43 stopni w cieniu i więcej nawet; w słońcu zaś mamy przeszło 65°; temperatura ta utrzymuje się z małą różnicą aż do zachodu słońca. I mamy tego dzień po dniu już od dwóch miesięcy blizko.

Myślicie, że noce przyjemniejsze są nieco chłodniejsze? Ale gdzież tam! przeciwnie, całodziennym żarem bowiem rozpalona ziemia, oddając go z nadejściem wieczoru, ze znaczną domieszką pary wodnej, czyni temperaturę nieznośniejszą jeszcze od dziennej. Czem się tu chłodzić i gdzie spać? pyta się każdy, woda więcej niż letnia, a mury, ściany, pościel, wogóle wszystkie sprzęty rozgrzane tak, że ich się prawie dotknąć nie można.

Do tego za nadejściem nocy miliony moskitosów przyjemnem brzęczeniem przypominają ci, że bezkarnie usnąć nie możesz, a tu w Sohag przytem, ponieważ to nad Nilem, znajduje się jeszcze rodzaj małych zielonych muszek, których ukłucie o wiele nieprzyjemniejszem od moskitosa, sprawia bolesne swędzenie i spuchnięcie, trwające kilka godzin przeszło.

Muszki te, niewydając żadnego głosu, nie pozwalają nawet przedsięwziąć środków ostrożności za ich zbliżeniem się, a siatka muślinowa pokrywająca me łóżko nie jest w stanie obronić przed tą prawdziwą egipską plagą.

Za nadejściem nocy tedy, każdy z mieszkańców wyszukuje sobie jak najchłodniejszego miejsca do spoczynku; bogatsi sypiają na dachach domów, ubodzy zaś układają się w uliczkach miasta, gdzie wszystko razem zmieszane, kobiety, mężczyzni, dzieci, psy i koty, na gołej ziemi bez najmniejszego przykrycia spoczywa. Niedawno wracając już dość późną godziną do siebie, miałem wiele biedy z przejściem w jednej z podobnych uliczek, i pomimo światła księżyca, nie obeszło się, żebym temu lub owemu na rękę, głowę lub inną część ciała nie nadepnął. Na krzyk śpiącego budzi się cała rodzina i zaraz nastąpiły wypytywania: kto, zkąd, gdzie, co się stało, i przepraszania. Tymczasem płacz dzieciaków zbudził psy, które z całą zajadłością na mnie wpadły, i jedynie tylko kijowi mego służącego, którym na wszystkie strony wywijał, zawdzięczałem, że mnie bestye w sztuki nie poszarpały. Psy arabskie bowiem, o ile w dzień są spokojne, o tyle w nocy stają się zajadłe i nader niebezpieczne dla spóźnionego przechodnia. Spanie to na ulicy jest nader niebezpieczne, z powodu mnóstwa skorpionów, których ukłucie, zwłaszcza w tej gorącej porze roku, nader często śmierć sprowadza.

Dlatego więc, każdego wieczoru, przed pójściem spać opatruję z troskliwością wszystkie zakątki terasy, czy gdzie który z tych szelmów się nie kryje, będąc bowiem już raz ukłutym przez skorpiona i wycierpiawszy wskutek tego niewypowiedziane męczarnie, stałem się o wiele przezorniejszym od tego czasu.

Pominąwszy jednak te wszystkie drobne niedogodności, najwięcej dokucza mi brak dobrej wody. W tym roku bowiem Nil opadł tak nizko jak tego już dawno mieszkańcy nie widzieli, a woda, która przy zwykłym stanie, ma barwę niebieską, przybrała teraz kolor zielony i jest nader niezdrową do picia; musimy tedy używać wody z cystern i studni, choć brudnej i niesmacznej.

W Aleksandryi np. kanał Mahmudie, zaopatrujący całe miasto w słodką wodę, dziś prawie wysechł, a wody Śródziemnego morza poczynają go zalewać. Zaalarmowani mieszkańcy, napróżno dopominają się u władzy o otwarcie innych kanałów dla wprowadzenia świeżej wody, lecz co tu robić, skoro w samym Nilu wody tak mało i dotego niezdrowa. Cała ludność Egiptu znajduje się obecnie w przykrem oczekiwaniu i smutne wnioski tworzy o przyszłorocznem żniwie. Popierwsze bowiem *„nugta"* niepomyślnie wypadła, a podrugie podczas, gdy w roku zeszłym wody Nilu w tym czasie już się były podniosły, dziś przeciwnie, jeszcze ich ubywa. Daj Boże jednak, żeby deszcze podrównikowe uczyniły wylew tegoroczny dostatecznym, inaczej bowiem zawita głód, jak to tutaj przed trzema laty miało miejsce.

Na dziś zakończam już mą korespondencyą, lecz spodziewam się donieść wam wkrótce nieco więcej o tutejszym kraju.

Stefan Marusieński.

*) Chamsin, gorący wiatr wiejący od strony pustyni arabskiej przez dni pięćdziesiąt, zkąd jego nazwa, słowo chamsin bowiem oznacza na polskie liczbę 50; merisi, wiatr wiejący od równika.

Z BIEŻĄCYCH KWESTYI.

Zanim wywiążę się z obowiązku napisania o bieżących sprawach, wpierw pozwólcie mi łaskawe Czytelniczki opowiedzieć genezę tych artykułów, a zarazem czyniąc zadość zwyczajom towarzyskim, przedstawić wam autora. Siedziałem w domu rozmyślając w ciszy mego serca o łąkach, górach i lasach, o kwiatach, poziomkach i śmietanie wiejskiej, której używają wybrańcy mający poddostatkiem funduszów na wyjazd z miejskich murów. Marzenia te przerwał chłopak redakcyjny, wzywający mnie do redaktora.

Idąc, myślałem o zaliczce, o wyjeździe i tym podobnych pięknych rzeczech, aż wreszcie znalazłem się w redakcyi.

— Czy pan wyjeżdża z Warszawy? zapytał mnie redaktor. Serce zabiło mi gwałtownie i odpowiedziałem:

— Wyjechałbym, gdyby...

— Więc pan zostajesz, a to dobrze, ja wyjeżdżam jutro, a ponieważ pragnąłbym trochę ożywić pismo, więc możeby pan pisał nową rubrykę np. „Z bieżących kwestyi?" cóż, czy zgoda?

Nie należę do zgryźliwych i tetrycznych ludzi, pogodziłem się więc z losem, a jedynie trapiła mnie myśl, o czem pisać, by zyskać względy i łaskę waszą szanowne czytelniczki. Nadeszła noc, tematu nie miałem, obudziłem się, tematu nie było — wychodzę na miasto. Na ulicy spotykam jednego z mych towarzyszy niedoli.

— A to ty, zawołał mój znajomy.

— Tak, to ja, odpowiedziałem, i mimowolnie błysnęła mi myśl zapytania czy też on wie cokolwiek o sprawach bieżących; cóż słychać nowego?

— Jakiż straszny upał.

Mając z natury miękkie serce, zacząłem mu podawać rozmaite środki hygieniczne, jak: lody, zimną wodę, kąpiel — wysłuchał mnie spokojnie, a potem machnął ręką i wskazał na wonny rynsztok, który wspaniale toczył swe mętne nurty obok chodnika. Zrozumiałem, uścisnąłem w milczeniu jego rękę na dowód głębokiego współczucia i zacząłem rozmyślać nad—oczyszczeniem Warszawy.

Otóż zjechał już z Anglii do Warszawy inżynier Lindley, którego miasto zakontraktowało na lat pięć, płacąc mu rocznie za fatygę po 2,000 funtów szterlingów czyli 18 tysięcy rubli; roboty niebawem się rozpoczną, a według zatwierdzonych kosztorysów i szczegółowych wyliczeń pokryje je suma 9 milionów rubli. W pierwszych latach dziesięciu ma być wykonaną połowa robót do wysokości 4 milionów rubli, a reszta dopiero później będzie wzięta pod uwagę. Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i Stare Miasto z siecią przyległych ulic są na pierwszym planie.

Pociesz się tedy mój przyjacielu, za lat dziesięć zapach perfum angielskich mile będzie łechtać twe powonienie, a tymczasem chodźmy do ogrodu Botanicznego. W Alejach Ujazdowskich sztuk, hałas, mnóstwo robotników — będziemy mieć koleje konne, jedni wołają, że mieszkania stanieją, to optymiści; drudzy, opierając się na doświadczeniu, mówią z uśmiechem złośliwym, że gospodarze podwyższają komorne, to pessymiści. Nie przesądzamy którzy z nich mają słuszność; faktem jest, że w ostatnich czasach wiele pomieszkań stoi pustkami a panowie ekonomiści przewidują, że komorne spadnie o 30 procent. Niemając kamienicy ani żadnej rzeczy, które jego są—cieszę się niewymownie z tych proroctw — oby się sprawdziły!

Idąc wstecz mą pamięcią, rysuje się przed memi oczyma dworek w Galicyi w którym mieszkali rodzice, ach jak tam dobrze, słodko było. Ojciec był wielkim zwolennikiem Zoryana Chodakowskiego i polskich imion, więc przy chrzcie dał mi imię Cyryla, obok innych, które matka wymogła. Gdym doszedł do tej perfekcyi, że nietylko czytać ale i rozumieć mogłem, martwiłem się niepospolicie, że śś. Cyryl i Metody nie mają należnego uznania w kościele, do którego mnie zaliczono. Z wiekiem wzrastało to niezadowolenie, gdyż przez dziedzictwo krwi (było to przed Zolą) umiłowałem mój kraj i Słowiańszczyznę. To też z prawdziwą radością powitałem fakt uroczystości rzymskiej, a do mych osobistych uczuć przyczyniły się niemało idee o zjednoczeniu, zbrataniu Słowian. Mym uczuciom zawtorowały wszystkie polskie dzienniki prócz jednego — prócz „Prawdy”.

Gdyśmy już w Rzymie, to nie zawadzi wstąpić nam do „Małego Rzymu”, ale nie będziemy się zatrzymywać po kościołach, ani podziwiać pomniki, lecz rozglądnijmy się w Krakowie, jako kolebce i mistrzyni malarstwa polskiego. Tedy najpierw mamy nowy acz niedokończony obraz Matejki p. t. „Hołd pruski”. Szkic tego obrazu mieli Warszawiacy sposobność widzieć w salonie pana Ungra, obecnie „Czas” przynosi nam bliższe szczegóły. Jak sam tytuł wskazuje, obraz przedstawia hołd Albrechta pruskiego: w zbroi stalowej i gronostajowym płaszczu, klęcząc, trzyma chorągiew, której końce dzierżą dwaj jego bracia, na znak, że w imię całego narodu przysięgę przyjmują. Albrecht pięknego oblicza, ma wyraz uroczysty, bracia jego tylko mają coś chytrości krzyżackiej. Na estradzie siedzi Zygmunt Stary z obliczem wziętem z medalów i monet, a takiem pełnem majestatu, że przypomina Cezarów, Romy, Tytusów i Augustów z popiersi muzeum watykańskiego. Za królem biskup Tomicki czyta rotę przysięgi, a w jego postawie i pięknym wyrazie twarzy znać trochę i boleść księcia kościoła na ten akt uznania apostaty. U stóp króla na stopniach estrady zawieszony Stańczyk przecudowny, ale tylko strojem i pozą on błaznem, wyrazem to mędrzec, co już nie szydzi, bo patrzy jasno w przyszłość. Królowa Bona w seledynowej sukni, jest nieco młodszą od tej, którą widzieliśmy przy „Poświęceniu dzwonu Zygmunta”, za nią kilka głów kobiecych. Z boku stoi hetman Tarnowski, znać w nim rycerza i statystę, Kmita, Kościelecki, Opaliński i inni. Poniżej estrady, jakiś sługa miejski trzyma rózgę, aby według średniowiecznego obyczaju chłostać dziatwę dla wbicia jej w pamięć wielkiego wypadku. Do ludu z drugiej strony obrazu przechyla się Bonar, podskarbi królewski. Za parę miesięcy będziemy bogatsi o jedno arcydzieło, co rozniesie po świecie fakt historyczny, zapomniany przez Europę, będący świadectwem naszej wielkości i potęgi dziejowej, że na rynku Krakowskim przed Zygmuntem Starym klęcząc, składał przysięgę hołdowniczą w swojem i w swych następców imieniu, założyciel państwa pruskiego, protoplasta dzisiejszych cesarzów niemieckich.

Obok tego niedokończonego dzieła, spostrzegamy w pracowni Matejki dwa szkice z „Odsieczy Wiednia”. Jeden z nich znany z wystawy Krywulta, przedstawia Jana Sobieskiego, gdy w zamieszaniu bitwy ścina klingą karabeli głowę turkowi i wyrywa mu sztandar z ręki; drugi przedstawia scenę, gdy król po zwycięztwie, na koniu w. wezyra oddaje sztandar i listy rycerzowi, który ma śpieszyć w poselstwie do Rzymu z dobrą nowiną.

W krakowskiej „Meisterschuli” jest obraz pana Hernicisza, ucznia Matejki, przedstawiający piękną cygankę, która za czary zostaje wyświeconą z miasta. Scena odbywa się w loggiecie starego ratusza krakowskiego i ma wiele charakteru miejscowego, ma wyborne typy miejskie i ludowe z końca XVII lub początku XVIII wieku.

Nareszcie po długiem oczekiwaniu dał znak życia komitet pomnika Adama Mickiewicza, ogłaszając warunki wstępnego konkursu na wykonanie tegoż. Zadaniem konkursowem są szkice rysunkowe, dające wyobrażenie o kompozycyi pomnika, który może stanąć na rynku, przy kościele XX. Dominikanów, na Placu Szczepańskim lub na wzgórku w pobliżu Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, nieprzęsądzając wyboru innych miejscowości. Koszta nie mogą przechodzić od 80 do 100 tysięcy złotych austryackich. Posąg ma być z bronzu i z tego metalu wszelkie rzeźby dodatkowe. Podstawa wolno stojącego pomnika z granitu krajowego. Styl pomnika ma być renesansowy, a postać poety odziana w ubiór poecie współczesny. Najlepszy projekt otrzyma nagrodę w sumie 1,000 franków, termin dzień ostatni grudnia bieżącego roku.

Spodziewamy się, że nasi artyści nie zaniedbają sposobności i pracy, by godnie wystąpić na konkursie; przedmiot tak wdzięczny, jak mało który, bo i któż jest zdolny natchnąć tak wysoko artystę-Polaka, jak nie nasz wieszcz nieśmiertelny.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Przed parą miesiącami wydany został w Wilnie *Zarys literatury polskiej* z ostatnich lat szesnastu przez D-ra Piotra Chmielowskiego. O dziełku tem obszerniejsze cokolwiek sprawozdanie złożymy później, nie dlatego aby na to zasługiwało, ale żeby wykazać, z jak lekkomyślną zarozumiałością przystąpił Autor do pracy tak ważnej. „Kuryer Warszawski” w tym samym duchu poświęcił aż pięć coś numerów rozbiorowi dziełka p. Chmielowskiego. Krytyka to prawdziwie humorystyczna, godna zupełnie przedmiotu, ale za obszerna dla pracy tak lichej. Nie ma w niej bowiem ani cienia zapowiedzianego zarysu, tylko hystorya zamętu głowin przez czas pewien bardzo hałaśliwych, niby to ocknionych do umysłowej wyższej działalności, z której powstała bańka mydlana krzykliwa, napastnicza, poniewierająca wszystkiem, przeszłością, obecnością, ludźmi zasłużonymi, zasadami najszlachetniejszemi, i gdy pękła, z całej tej wrzawy i szamotania się w powijakach dziecinnnych wybryków pozostało... zero.

Pan Chmielowski we wrzawie tej czynny i przeważny brał udział, i zamiast rozśmiać się sam ze swej młodzieńczej buty, podniósł ją do miana szlachetnej walki o idee, o postęp, o wydobycie społeczeństwa z ciemnic otchłani i pokazania mu jak on i podobni mu wówczas młodzieńczy towarzysze byli mądrzy i łaknący wiedzy a wszyscy starzy pracownicy głupi, zapleśniali z całą razem społecznością, której służyli.

Połowę też swej pracy poświęcił walce młodych ze starymi, walce której wcale nie było, bo że pan Chmielowski i jemu podobni krzyczeli i skrzypili piórami co tylko papier mógł wytrzymać, a ten jest bardzo cierpliwy, starsi zaś napastowani, w milczeniu podnosili ramion, to niebyło walką tylko bolesnem dziwieniem się na wybryki młodzieńczej zarozumiałości. Jeżeli zaś w prasie dawniejszej podniósł się przeciw nim głos jakiś, to nie był polemiką tylko refleksyą przywołującą do upamiętania. Jakże więc to można nazywać walką młodych ze starymi? Starzy jak pracowali tak pracują, szeregi ich znacznie przerzedziły się, mimo tego zasługi ich nie umniejszono: społeczność zachowała dla nich wdzięczną pamięć:—ci zaś co pozostali, choć zapomniani i zaniedbani przez nowe piszące pokolenie, pracują dalej jak mogą i umieją, ciesząc się uznaniem ziomków a krzepiąc się zadowoleniem własnego sumienia.

W tej burzy w szklance wody, wywlókł jednak pan Chmielowski i postawił na piedestale wielkości *Przegląd Tygodniowy.*

Zasługa jego rzeczywiście była wielka. On bowiem pierwszy wprowadził do prasy naszej skandał, spotwarzanie, plotki, kłamstwo i poniewieranie każdym co choć cokolwiek zwracał na siebie oczy ogółu, niemogącego żadnym sposobem przyznać wielkości redaktorowi jego, p. Wiślickiemu. On także pierwszy wystąpił z wydawnictwem Biblioteki popularnej za pięć rubli, która tak starannie została wybraną, że cała poszła na makulaturę i użytek bibułowy tych co za nią zapłacili. On także wysuwał się z artykułami niby dotykającemi kwestyi społecznych, ale tak partacko, pobieżnie, bez znajomości rzeczy obrobionemi, że wyglądały nie na artykuły dziennikarskie, ale na ćwiczenia szkolne i to wymagające wielkiej poprawy.

Wszystko to p. Chmielowski po części sam przyznaje, jakże więc mógł „Przeglądowi” nadawać znaczenie prawdziwie literackie i pisać o nim prawie przez pół tomu w swym zarysie literatury polskiej? O niej zaś samej tyle powiedział co nic, zrobił jakiś bigos hultajski, porobił wzmianki o tem i o owem, a dotykając poezyi, oceniając ją, był prawdziwie zabawny, kubek w kubek podobny do recenzentów wraz z nim pewnych swej doskonałości.

+ Korespondent z Sosnowca do „Kuryera Porannego” podaje piękny obrazek z życia ludu wiejskiego, z okolic Dąbrowy. Przejeżdżając w dzień Zielonych Świątek przez wieś Łagiszy, usłyszał śpiewy choralne wychodzące z domku włościańskiego Feliksa Gwiazdy; wiedziony ciekawością, wstąpił do niego, i oto jaki widok przedstawił się jego oczom.

Przed urządzonym w izbie chaty ołtarzykiem klęczało około 50 osób śpiewając nabożne pieśni. Na ołtarzyku tym paliło się sześć świec stearynowych, a od sufitu spuszczała się lampka której światło rzucało blask na ołtarz. Dwa, w dużym formacie, portrety papieży Piusa IX-go i Leona XIII-go, zdobiły ściany tej improwizowanej domowej kaplicy. A nie jedyna to we wsi, gdyż jak objaśniono pomienionego korespondenta, kilka podobnych urządzonych jest we wsi, i wieśniacy schodzą się do nich na wspólne nabożeństwo. Zato karczma zawsze niemal stoi pustkami i tony kataryniki nigdy się w niej nie rozlegają, albowiem włościanie wraz z rodzicami bawią się we własnych lub sąsiednich chatach.

Skutkiem tak przykładnego spędzania czasu wolnego od pracy, włościanie przyszli do widocznej zamożności; chaty ich odznaczają się porządkiem i starannem utrzymaniem; przy każdej znajduje się ogród owocowy ze szczepami w dobrych gatunkach, a przed oknami pourządzane kwatery z warzywem i kwiatami. Nadto, przy każdej chałupie jest oddzielna studnia, — co wszystko świadczy o zamożności i moralności włościan. Ten stan tak pożądany, zawdzięczają oni gorliwości

ks. proboszcza z Bendzina, jakoteż troskliwej dbałości o ich dobro miejscowego nauczyciela. Daj Boże, aby piękny ten przykład gorliwości kapłana i nauczyciela więcej znalazł naśladowców, aby podobny stan włościan naszych nie należał do wyjątków!...

+ Warszawę zdumiewał pan Donato swemi, rzeczywiście zadziwiającemi, doświadczeniami magnetyczno-hipnotycznemi; jednocześnie prawie większe jeszcze zajęcie wywołały w Londynie doświadczenia dokonywane przez niejakiego pana Bishof, zaciętego wroga spirytyzmu, który pragnie dowieść, iż nieuciekając się bynajmniej do niego, zdoła wywołać więcej jeszcze zadziwiające i trudniejsze do pojęcia fenomena. Utrzymuje on iż potrafi czytać w myśli jednostek jedynie za położeniem ręki na czole osoby której myśli poznać pragnie. I tak zupełną pokłada ufność w tem odkryciu nowego klucza tajemnic nauki, iż nie wahał się zaprosić najznakomitszych uczonych londyńskich na prywatne posiedzenie, aby odbytemi w ich obecności doświadczeniami przekonać ich o istnienie sympatyi nerwowej, mogącej objaśnić i wytłomaczyć, szczególniej w medycynie, wiele faktów dotąd prawie niezrozumiałych. Faraday, który doświadczenia odbywane ze stolikami wirującemi tłomaczył wprost przez „mimowolne działanie mięśni", byłby w kłopocie jak wytłomaczyć doświadczenia pana Bishof'a. To tylko bieda, że jak psychologiczne próby spirytystów, tak i próby odbywane przez p. Bishof'a, niezawsze bywają uwieńczone powodzeniem, a niekiedy najzupełniej się nie udają—a wtedy, jak zwykle wszyscy ekspercimentatorowie w podobnych doświadczeniach — tłomaczy on to brakiem usposobienia i nerwowej czułości osobnika.

Na posiedzeniu odbytem w jego mieszkaniu, pan Bishof odnalazł, gdzie niejaki pan Monneur Convay, największy z tegoczesnych sceptyków, ukrył swój bilet wizytowy, pomimo iż miał oczy zawiązane, a za jedyną wskazówkę służyło mu przyłożenie lewej ręki do czoła pana M., które dość mocno przyciskał. Wiele z osób obecnych na tem posiedzeniu, które odbywały podróż po Australii, zauważyły z zadziwieniem iż p. B. robi też same ruchy jakie w podobnych okolicznościach wykonywają dzicy. Biegał bardzo prędko, pociągając za sobą poddanego doświadczeniom i dotykając prawą ręką wszystkich miejsc któremi przechodził p. Monneur Convay. Nareszcie z niewymownem zadziwieniem obecnych, niemogących zdać sobie sprawy z podobnego objawu, stanął w miejscu gdzie bilet był ukryty, i wyjąwszy, okazał wszystkim.

Oprócz powyższego, miały miejsce i inne doświadczenia, z mniej więcej pomyślnym skutkiem, jedno jednak najwięcej dało do myślenia obecnym. Ktoś zapytał go jaki wyraz sylabizował w myśli, i natychmiast p. Bishof wyliczył jedne po drugiej litery w tym porządku jak się przedstawiały w umyśle pytającego. Bardzo przemawia za wiarogodnością doświadczeń p. Bishof'a ta mianowicie okoliczność, iż nie myśli za ich pomocą wyłudzać pieniędzy z ciekawych czy łatwowiernych, gdyż nie daje wcale przedstawień za pieniądze, i uprasza tylko uczonych, aby jak najściślej badali przyczyny cudownego fenomenu, który całkiem bezwiednie objawił się u niego. Sądzi on, że za pomocą odkryć, jakie nauka poczyni na tej drodze, wszelkie tajniki nerwowego układu człowieka niezadługo staną się wiadome doktorom. Ciekawa rzecz co doniosą o tem późniejsze wiadomości z Londynu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumeratorce z Galicyi. Za list z taką życzliwością napisany, serdecznie jesteśmy wdzięczni. Redakcya starać się będzie życzenie spełnić, ale zaprowadzenie tego działu wymaga pewnego przygotowania, prosimy więc o cierpliwość.

Zawiadomienia.

W dalszym ciągu **„Wydawnictwa pedagogiczno-szkolnego księgarni S. ARCTA w Lublinie**, wyszła książka pod tytułem:

Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu,

p. HENRYKA WERNICA.

Cena kop. 40.

„Zupełny brak podręczników, — mówi autor — traktujących o pierwotnem wychowaniu dziecka, dotkliwie czuć się dający w naszej literaturze pedagogicznej, pobudził nas do napisania niniejszej pracy.

W układzie jej staraliśmy się dotknąć najważniejszych pytań wychowania, po części licząc na to, iż reszty już sama matka dopełnić zdoła, po części zaś niechcąc zbytecznie rozszerzać ramek naszej pracy.

Za główne zadanie położyliśmy sobie: być zrozumianym przez ogół czytelników; dlategoto, o ile możności, językiem przystępnym staraliśmy się rzecz naszą wyłożyć. Dla większej zaś jasności zamieściliśmy na końcu dziełka znaczną liczbę przykładów, wziętych jużto z naszego własnego doświadczenia, jużto z doświadczenia innych pisarzy pedagogicznych.

Szczerze życzymy iżby podręcznik ten znalazł się w ręku każdej matki, każdego ojca dbałego o dobro i pomyślność swych dziatek, a tuszymy sobie, że niejednokrotnie przyczyni się do sprostowania i wyjaśnienia tak zamąconych u nas pojęć wychowawczych, tyczących się tej pierwszej epoki życia dziecięcego."

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Іюля 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 30 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg.)

Mówimy tu ma się rozumieć o tych starych pannach które nie mogły lub nie umiały stworzyć sobie rodzinnego życia, małego światka, któremu oddałyby całe swe serce, a nawzajem znalazły w nim prawdziwe skarby przywiązania. Sylwia de la Trémarais, odkąd żyła obok Renaty, nie mogła się liczyć do tych starych panien od nikogo nie kochanych, smutnych, samotnych, żyjących bez celu, dla tego też nie mogła już budzić politowania. Ale Renata, szczęśliwa Renata, mogłaby tylko wzbudzać zazdrość, pomimo swego ubóstwa. Być chwaloną, podziwianą, to mała rzecz, słyszeć od wszystkich pochlebne dla siebie słówka, jeszcze mniejsza, ale czuć się kochaną, być głównym przedmiotem uczuć, myśli i nadziei osób otaczających nas i opiekujących się nami, to dla młodej dziewczyny szczęście prawdziwe, najdoskonalsze. Ponieważ zaś panna de Plouernel posiadała nieoceniony dar pozyskiwania serc ludzkich, nic dziwnego że dzień jej imienin był zawsze obchodzony tak wesoło i uroczyście.

W dniu, który zamierzamy opisać, nasunęło jej się zaraz po przebudzeniu pytanie, które wprawiło ją w lekkie zamyślenie.

— Ileż też dziś dostanę bukietów? pomyślała. Czy *oni* wiedzą że to moje imieniny? O! jeżli nie wiedzą, nie zmartwi mnie to ani też rozgniewa... Jednak, wolałabym...

Głos ciotki Sylwii wyrwał ją z zamyślenia; wołała na nią aby zeszła do salonu, gdzie już wszyscy oczekiwali z przeznaczonemi dla niej upominkami. Babka ofiarowała jej suknię niebieską grenadynową; ciotka Sylwia emaljowany medaljon z cyfrą wysadzaną perłami; Gwidon pięknie oprawne sonety Beethchowena, a Joanna upieczony przez siebie wielki placek, uwieńczony kwiatami. Renata obsypana błogosławieństwy i życzeniami, zapomniała zupełnie o bukietach, które ją tak zajmowały przed chwilą, i których mogła spodziewać się z pewnością.

Przynoszono rzeczywiście mnóstwo różowych, niebieskich, pstrych od sąsiadów, proboszcza, rybaków, znakomitszych mieszkańców miasteczka. Renata przyjmowała je z wdzięcznością, ale jako grzeczność do której już była przyzwyczajoną. Nakoniec przyniesiono prawie jednocześnie dwa bukiety białe, a jednak całkiem do siebie niepodobne.

Jeden z tych bukietów składał się wyłącznie z kwiatków hodowanych w cieplarni, drugi z samych dzikich kwiatów. Pierwszy z nich był piękny, okazały i wonny; drugi odznaczał się jakąś poetyczną prostotą.

Traf zrządził, a jak wiemy, bywa on często złośliwy i psotny,—że te obydwa bukiety odebrała ciotka Sylwia, i zaniosła je do pokoju w którym Renata i margrabina rozmawiały z gośćmi.

— Przysłano ci Renato jeszcze te dwa bukiety, niby bardzo do siebie podobne, z których jednak każdy przemawia zupełnie odmiennym językiem... Przypatrz im się dobrze i powiedz mi który z nich podoba ci się więcej.

Rzuciła je niedbale na stół, nie mówiąc nic siostrzenicy że bukiet z rzadkich i kosztownych kwiatów przyniósł wygalonowany lokaj z la Tremblade, drugi zaś niemniej piękny, ale złożony z samych dzikich kwiatków, rozkwitłych na rodzinnych stepach i łąkach, odebrała od Józefka, służącego Alfreda Mercier.

Renata, której piękna twarzyczka pokryła się nagle żywym rumieńcem, spoglądała kolejno na bukiety.

— Doprawdy, obydwa są prześliczne, rzekła nakoniec; jeden pełen wdzięku i prostoty, drugi tak okazały i wonny!... Nie wiem doprawdy któremu dać pierwszeństwo.

— Bardzo słusznie, moje dziecko, odezwała się trochę cierpko ciotka Sylwia. Prawdę mówiąc, cóż mogą znaczyć te snopy kwiatów... Jedne i drugie zwiędną jutro.

— Wybacz pani, panno Sylwio, zawołała pani Leroux, żona notaryusza, ale ten bukiet z cieplarniowych kwiatów jest przepyszny. Musi być sprowadzony z Nicei lub Paryża.

— A ten, panno Renato, jakże piękny, jak wzruszający swoją skromnością i prostotą! odezwała się panna Róża, siostra proboszcza. Patrz pani, te gałązki głogu muszą pochodzić z Bois-Guillot, te piękne stokrotki z wielkiego stepu, a na łączce, wśród parku w Plouernel zerwano zapewnie te śliczne dzikie lilije.

— Rzeczywiście, rzekła Renata biorąc w ręce bukiety, tu zgromadzono same piękne obce kwiaty, sprowadzone z niemałym kosztem z dalekich stron; tu znów połączono same skromne kwiateczki, zrodzone na rodzinnej naszej ziemi. To pewna jednak że tak tu jak tam doborem kwiatow kierowała myśl życzliwa, dla tego też trudno byłoby mi wybierać między niemi.

— A więc nie wybieraj! zawołała ciotka Sylwia niecierpliwie. Włóż jeden z tych bukietów do wazonu, na którym uśmiecha się pasterka, drugi do wazonu na którym pasterz gra na flecie, postaw na konsoli ten na prawo, ów na lewo, i zostaw je tam spokojnie dopóki nie zwiędną. Podług mnie zarówno bukiet polny, jak bukiet paryzki nie zasługuje na nic więcej.

— A więc pani tak lekceważy dary przyjaźni? rzekła z uśmiechem żona notaryusza.

— Eh! bukiet i przyjaźń są to dwie zupełnie odmienne rzeczy, nie mające z sobą nic wspólnego, odpowiedziała panna de la Trémarais, wzruszając ramionami.

— O! nie zawsze, droga ciociu, szepnęła nieśmiało Renata.

— Jakto, nie zawsze! Zkąd to możesz wnosić, dziecko? odezwała się żywo panna Sylwia, zwracając na siostrzenicę przenikliwe i niespokojne spojrzenie.

— Ma poniekąd słuszność, odezwała się milcząca dotąd margrabina. Jeźli naprzykład Renata w dniu moich lub twoich imienin przynosi nam bukiet wraz z życzeniami i pocałunkami, czy sądzisz że jej słowa i pacałunki nie są równie szczerze i niewinne jak jej kwiaty?

— Tak, jest to niezawodną prawdą co do naszej Renaty, ale nie co do innych, odrzekła ciotka Sylwia, patrząc ze smutkiem i niedowierzaniem na bukiety.

W tej chwili ukazała się Melina, a za nią służąca niosąca dużą paczkę.

— Czy mi przebaczysz, moja droga, że nie złożyłam ci wcześniej moich życzeń, mówiła zarzucając ręce na szyję Renaty. Chciałam tu przyjść zupełnie rano, ale na nieszczęście, przyjechał do nas kolega ojca z Rady jeneralnej, musiałam więc przyrządzić śniadanie, wydać potrzebne rozkazy. Biedny mój brat nie mógł dotąd jeszcze wyjść z domu. Ten pan przyjechał z synem, któremu Alfred musiał pokazywać wszystkie psy i konie... O! niech się panie nie śmieją, ma to być zapalony myśliwy, i kto wie czy w jego oczach konie i psy nie są najgodniejszymi uwagi mieszkańcami w la Rouerie... Alfred był bardzo niezadowolony z tej wizyty przybywającej tak nie w porę, a ja żartowałam z niego... O! bo jak chcę, to umiem być złośliwą. Przypomniałam sobie jakąś starą piosenkę, i śpiewałam mu ciągle:

Ty tam nie będziesz Alfredzie,
Ale twój bukiet tam będzie.

— I jest rzeczywiście: widzę go na stole. O! biedaczek,—mówię o bukiecie, — jakże on, wieśniak, Bretańczyk, musi się czuć upokorzonym stojąc obok tych kwiatów pochodzących z odległych krajów, które muszą kosztować bajeczne summy? Gdy tymczasem Alfred,— wstyd mi to powiedzieć,—sam zrywał kwiatki i sam ułożył bukiet.

— Nie ma się czego wstydzić, odpowiedziała poważnie Renata. Czy sądzisz że mi nie jest miło widzieć tu, dzięki życzliwej pamięci przyjaciela, połączone wszystkie moje dawne znajome z lasu i stepu?

— Tak, są to rzeczywiście dawne twoje znajome. Czy wiesz że Alfred zbierał je w różnych, nawet odległych miejscach? Wiem to z pewnością, bo chodziłam z nim wszędzie. Tam przypomniał sobie że siedząc w cieniu dolmenu, podziwiałaś piękność przetacznika kołyszącego nad aksamitnym mchu kobiercem swe białe kwiateczki; tam znów widział gałązkę powoju spadającego na twe włosy i ramiona; te śliczne lilije kwitły na łączce w parku, kiedy widzieliśmy cię po raz pierwszy w Plouernel. Wszystkie te kwiaty możnaby słusznie nazwać kwiatami pamięci, i przez to jedynie zasługują na pobłażliwe spojrzenie.

Melina szczebiotała wesoło, nie zważając że jej słowa wywołały jakiś cień smutku na czoło Renaty, a wyraz zadziwienia, prawie niezadowolnienia, na twarz ciotki Sylwii i margrabiny.

— Ale, mówiła dalej, dla dzikich kwiatów Alfreda nie powinnam zapominać o moich, trochę już ucywilizowanych, a zatem godniejszych ciebie, droga moja Renato... Oto najprzód pierwsze kwiaty z mojej ulubionej róży, które jakby dla uczczenia ciebie, rozwinęły się dziś właśnie... A ponieważ wiem że myślisz zawsze o innych, a zapominasz o sobie, zrobiłam dla ciebie pokrycie na toaletę, które zechciej przyjąć jako dar od szczerej przyjaciółki.

Rozwinęła paczkę i wyjęła z niej pokrycie na toaletę naśladujące do złudzenia najpiękniejsze koronki weneckie.

— Alež to zbyt piękne dla mnie, zawołała Renata. Twoja przepyszna robota mogłaby przyozdobiać toaletę jakiejś księżnej, a jak wiesz, w Goëllo nie było nigdy księżnej.

— W każdym razie może być kiedyś, odpowiedziała Melina, spoglądając z czułością na piękną i szlachetną twarz przyjaciółki. Zresztą nie idzie nam teraz o księżnę, ale o toaletę. Ojciec mój zamierza wydać za dwa tygodnie bal w la Rouerie, którego ty będziesz z pewnością prawdziwą ozdobą...

— Kto tu mówi o balu? odezwał się nagle we drzwiach głos wesoły.

Był to głos pani de Sarrans, która wchodziła do pokoju wsparta na ramieniu syna.

— Bal! powtórzyła, zarzucając ręce na szyję Renaty. Alboż to dosyć jednego balu na uczczenie tej drogiej pieścioszki?... Trzebaby tyle balów ile ma przyjaciół, a prócz tego tyle kwiatów, pieszczot, pocałunków, aby...

— Aby ją udusić, mruknęła ciotka Sylwia, która nie lubiła jedwabnych słówek i zbytnich uniesień.

— Ta kochana ciocia lubi zawsze żartować! rzekła pani de Sarrans z najmilszym uśmiechem. Pozwól, drogie dziecię, mówiła dalej zwracając się do Renaty, abym ci sama złożyła mały upominek składający się także z kwiatów, wraz z najlepszemi życzeniami. Co do mego syna, to nie poznaję go doprawdy. Trudno temu dać wiarę, że chłopiec liczący dwadzieścia pięć lat, który nie okazywał się nigdy lękliwym ani też niezgrabnym, oświadczył mi dziś rano, że nie ma odwagi zbliżyć się z kwiatami w ręku do ślicznej i milutkiej panienki, która wzbudziła w nas szczere i pełne szacunku uczucie. Tak, tak, słusznie się rumienisz, mój panie synu, słysząc to oskarżenie... Proszę cię, panno Renato, zadaj mu za to surową pokutę: nie pozwól mu zbliżyć się do siebie, nie przemów do niego ani słowa, nie przyrzekaj mu żadnego tańca na przyszłym balu, a na początek wyrzuć za okno te kwiaty, dodała wskazując ręką biały i wonny kwiatek stojący na konsoli.

— O! byłaby to zbytnia surowość... Pozwoli mi pani być pobłażliwszą, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiejszy, odpowiedziała z miłym uśmiechem zarumieniona Renata.

Gaston patrzył z rozpromienioną twarzą na ten uśmiech i ten rumieniec. Pani de Sarrans wzięła z wyrazem najżywszego zadowolnienia rękę Renaty, aby w nią wsunąć małe safianowe pudełeczko.

— Moje drogie dziecię, odezwała się z zawsze żartobliwym tonem, oboje z Gastonem uznaliśmy że ponieważ ten bukiet zwiędnie prędko, nie może być przedstawicielem naszych uczuć które nie zmienią się nigdy; zechciej więc przyjąć inne jeszcze kwiatki, także białe i skromne, ale które nawet po długich latach nie ulegną najmniejszej zmianie.

Mówiąc to przycisnęła sprężynkę i na błękitnym aksamicie, wyściełającym pudełko, ukazały się trzy małe gałązki konwalii, wyrobione lekko i gustownie, której dzwoneczki były z pięknych opalów, a ślicznie ułożone listki z zielonej emalii.

— Jakiż to śliczny, gustowny, bogaty podarunek! zawołała Renata, margrabina i dwie obecne panie, ale ciotka Sylwia wstrząsnęła tylko głową i nie wyrzekła ani słowa.

— Doprawdy, panie żartują!... Jest to jedna z tych drobnostek posiadających tę wartość jedynie że mile wpadają w oczy, i jakie zwykle noszą młode panienki. Niech mnie panie nie zawstydzają dłużej swemi pochwałami, bo inaczej będę sądzić że i moje konwalije zostaną wyrzucone na śmieci, mówiła pani de Sarrans, całując Renatę, uśmiechając się do margrabiny.

Wprawdzie, przy śniadaniu pani de Sarrans wspomniała raz jeszcze o gustownym i kosztownym prezencie który od niej otrzymała Renata, ale już tylko do pani Babillon, która także przyszła z bukietem w ręku, powinszować Renacie.

— Tak, mówiła, klejnoty w kształcie kwiatów są bardzo ładne... Sherminier umie układać je tak gustownie! Z początku mieliśmy inny zamiar... to jest, Gaston chciał koniecznie ofiarować pierścionek.

— Pierścionek! powtórzyła pani Babillon uśmiechając się i kręcąc głową.

— Tak, kochana pani Babillon... Ale przedstawiłam synowi że jeszcze zawcześnie. Nie miałam dotąd sposobności dowiedzieć się nic pewnego.... W tych dniach muszę pomówić z właścicielem la Rouërie, byłym notaryuszem, i jeżeli usłyszę od niego zadawalniające wiadomości, kochany mój Gaston nie będzie zwlekał z ofiarowaniem pięknego, zaręczynowego pierścionka... Tymczasem czynimy widoczne postępy, wszak prawda?

— Rzeczywiście, i nie mogło być inaczej. Wszyscy dobrze życzący pannie Renacie mogą jej tego powinszować.

W istocie, można było powinszować Renacie tego szczęścia, tej radości jaką przyniósł jej ten dzień błogi! Dotąd czuła się kochaną tylko przez najbliższe sobie osoby, teraz zdawało jej się że inni także pragną ją widzieć, zbliżać się do niej, i okazać uczucie dotąd jej nieznane. O! jakiż to miły dzień, jakie błogie złudzenie!

Alfred Mercier przybył do Goëllo dopiero po śniadaniu, gdy już całe towarzystwo znajdowało się w ogrodzie. Alfred szukał wzrokiem Renaty, ale Renata nie była sama, spacerowała z jedną z młodych panien, a obok niej szedł Gaston de Sarrans.

— Przy niej! zawsze przy niej! szepnął Alfred marszcząc brwi.

Jednak nie mówił nic takiego, czegoby każdy nie mógł słyszeć. Rozmawiali o stepie i wiosce, o wybrzeżu i o morzu, o Bretanii, słowem, jak mówił Gaston, o tem wszystkiem co nauczył się kochać od przybycia w te strony! Tylko że każde słowo było wypowiedziane teraz szczerzej, serdeczniej, z żywszym uniesieniem. Czy oni sami zdawali sobie z tego sprawę? Tego nie wiemy; ale Alfred patrzący na nich z daleka odgadł tę zmianę i zadrżał:

— Po cóż mam jej narzucać moją obecność? szepnął do siebie. Z pewnością zapomniała zupełnie o mnie i o moim bukiecie.

Zwrócił się i byłby odszedł gdyby Melina go nie spostrzegła i nie zatrzymała za rękę.

— A! jesteś nakoniec! zawołała. Czy się to godzi przybywać tak późno? Czy przynajmniej przywitałeś już Renatę?

Mówiąc to pociągnęła go ku niej. Renata podała mu rękę z tym życzliwym uśmiechem którym witała zawsze prawdziwych przyjaciół.

— Dziękuję ci Alfredzie, rzekła. Tylko tak dawny i szczery przyjaciel jak ty mógł mi ofiarować tak piękny bukiet, bukiet złożony ze wspomnień!... Poznałam w nim każdy kwiatek, nawet kwiat białej akacyi, z której kiedyś w Plouernel zerwałeś dla mnie gałązkę.

Niepodobna się było pomylić co do uczucia które podyktowało Renacie te życzliwe słowa i wywołało na jej usta ten miły uśmiech. Mówiła do Alfreda z tą życzliwością jaką zachowujemy przez całe życie dla przyjaciół z lat dziecinnych. Alfred zrozumiał to, czuł w tej chwili lepiej niż kiedykolwiek że nigdy nie będzie dla niej niczem więcej nad to czem był zawsze: towarzyszem, przyjacielem. Wynurzył jej też w kilku słowach swoje życzenia, i oddalił się smutny i zniechęcony.

Późno już było kiedy pani de Sarrans odjechała wraz z synem:

— Mała czarodziejka! rzekła całując Renatę, gdy już wsiadała do powozu. Przy niej godziny mijają tak szybko jak minuty, i każe zapomnieć o wszystkiem, nawet o naszym kochanym Paryżu! Nie domyślaliśmy się przybywając w te strony, że znajdziemy tu syrenę, wróżkę tak potężną że nas zmusi do pokochania Bretanii?

Potem jeszcze jeden pocałunek, gorące uściśnienie dłoni, milczący ukłon Gastona, i powóz odjechał.

Renata stała jeszcze czas jakiś na tarasie, słuchając koncertu urządzonego przez koniki polne na stepie, i dochodzącego aż do niej szumu morza.

— Ciociu Sylwio, rzekła wracając do salonu, pójdę do babuni, zobaczę czy nie potrzebuje czego, a potem... powiem ci dobranoc. Tyle wizyt i komplimentów zmęczyło mnię trochę.

— A więc idź, połóż się, moje dziecię, odpowiedziała ciotka, składając pocałunek na czole dziewczęcia.

Renata wyszła, a Sylwia, która dotąd gasiła i wyjmowała kawałki świec z lichtarzów, złożyła je do koszyczka, i smutnie zamyślona zbliżyła się do konsoli, na której stały piękne i świeże jeszcze dwa białe bukiety.

— Obydwaj chcieliby mi ją porwać szepnęła. Jak gdybym już raz nie straciła mego dziecięcia, mej nadziei, mojej drogiej Renaty! A jednak gdyby opuszczając nas, znalazła szczęście? A! co ja też mówię!... Alboż oni jej warci? Alboż który z nich zasługuje na posiadanie takiego skarbu jak moja ukochana Renata? Nie, ona nie dla ciebie panie wieśniaku, ani też dla ciebie panie elegancik u!

Pożegnała bukiety pogardliwem spojrzeniem, wzięła koszyczek i świecę i odeszła do siebie.

XI.

Prawda na balu.

Czytelniczki nasze nie mogą nam zarzucić że nie dajemy im wesołych obrazów. Mieliśmy już śniadania, tańce, przechadzki na morzu i na lądzie, a teraz wprowadzimy je na bal, i to na bal świetny. Jeźli wśród tych zabaw i uroczystości znajdzie się jakieś zranione serce, jakieś zniweczone złudzenie i zawiedzione nadzieje, nie nasza w tem będzie wina lecz świata, gdzie nie zawsze miłe uśmiechy i przyjemne słówka bywają dowodem prawości i szczerości uczuć, gdzie najświetniejsze nawet powodzenie nie zabezpiecza od tysiącznych przykrości, i gdzie najszczęśliwszych nawet spotykają liczne troski i cierpienia.

Renata zbyt mało jeszcze miała doświadczenia, aby mogła się oddawać tak posępnym myślom, dla tego też ubierając się na bal w trzy tygodnie po swych imieninach, czuła się zupełnie szczęśliwą: raz że świetny bal nie wydawał jej się bynajmniej rzeczą przerażającą, powtóre, że cieszyło ją to że jej droga Melina będzie spełniać po raz pierwszy w obec tak licznego zgromadzenia ważne obowiązki gospodyni; nakoniec że Gwidon, który miał wyjechać wkrótce do Paryża aby objąć miejsce przy którejś ambasadzie, cieszył się bardzo że będzie jeszcze mógł wziąść udział w tej zabawie. Zresztą Renata spodziewała się że na tym balu będzie mogła uwolnić się od jakiegoś przykrego niespokoju, który ją prześladował od pewnego czasu. Mieszkańcy la Tremblade już od ośmiu dni nie pokazali się w Goëllo, i Renatę dziwiło to bardzo, że pani de Sarrans, która doradziła jej aby na bal do pana Mercier przygotowała sobie suknię białą tarlatano-

wą, całą układaną w drobne bufki i przyozdobioną kokardami w kolorze *cerise*, nie przyszła zobaczyć jak też wykonano jej pomysł. Prócz tego, Melina i Renata wyjechały w tym przeciągu czasu na spacer, i wstąpiły do la Tremblade chcąc dowiedzieć się o zdrowiu uprzejmej sąsiadki. Odpowiedziano im że pani i pan Gaston wyjechali z domu.

— Pojechała zapewnie aby obstalować sobie toaletę balową, rzekła Melina, gdy wsiadały do powozu. Albo też może za jakimś interesem. Ojciec mówił mi że w tych dniach zasięgała jego rady i pewnych objaśnień. Zdaje się że bardzo polubiła nasze okolice... Gdyby też kupiła willę la Tremblade i co rok przyjeżdżała tu na lato?

Melina mówiła to z uśmiechem, spoglądając filuternie na swą towarzyszkę, która zdawała się nie słyszeć i nie widzieć tego.

Teraz jednak, gdy Renata ubrała już babkę i zaczęła ubierać się sama, znikł z jej serca wszelki niepokój, i czuła się zupełnie szczęśliwą. Dla czegóż więc ciotka Sylwia była tak cierpką i opryskliwą gdy wykończały tę śliczną tarlatanową suknię? Czemuż kładła na łóżku szeroką atłasową szarfę, i bukiecik z rozwijających się granatów, który miała przypiąć do czarnych włosów Renaty, z tak ciężkiem westchnieniem jak gdyby przeczuwała jakieś nieszczęscie? O! bo ciotka Sylwia jest tak niedowierzająca! nie wierzy młodości, przyjacielom, światu... Ale trudno, w dwudziestym roku życia zwątpić już o wszystkiem i być równie surową. Dla tego też Renata żartowała wesoło, chcąc rozweselić ciotkę, pytała jej czy ją smuci to że i ona także nie ma balowych trzewiczków, gierlandki z granatów i balowej sukienki. Potem ubrała się, i stojąc przed lustrem, patrzyła z przyjemnością na połyskujące atłasowe wstążki, mieniące się w różne kolory opale, i rozpromienioną twarz swoją. Następnie wsiadła do powozu, przysłanego z la Rouërie, wraz z babką, która podziwiała jej podobieństwo do jednej z prababek, która miała wielkie powodzenie na balach dworskich.

Czas był prześliczny, niebo wypogodzone, powóz jechał tak szybko... Z pewnością bal będzie piękny i zostawi po sobie miłe wspomnienie.

W pół godziny później powóz zatrzymał się w la Rouërie przed sienią przybraną mnóstwem kwiatów i oświeconą kolorowemi lampami, których światło odbijające się w lustrach, padało aż na marmurowe schody.

Kilku młodych ludzi wybiegło aby podać rękę damom wysiadającym z powozu. Alfred wyprzedził wszystkich, a ileż było zachwycenia i radości w spojrzeniu, którem powitał Renatę! Ale Gastona de Sarrans nie było. A jednak zwykle nie dał się wyprzedzić nikomu... gdy wówczas na morzu groziło jej niebezpieczeństwo, on pierwszy zbliżył się do niej ofiarując swą pomoc, opiekę i zdawał się gotowym poświęcić dla niej nawet życie! W pierwszej chwili wyraz smutnego zadziwienia zaćmił spojrzenie Renaty, a ręka jej, wsparta na ramieniu Alfreda, zadrżała lękko, ale wkrótce spokojny i pełen słodyczy uśmiech przesunął się po jej usteczkach, i pomyślała:

— Jakie też ze mnie dziecko, że mnie tak drażni nieobecność jednego z przyjaciół, skoro tylu innych wita mnie z tak szczerą życzliwością.

Rzeczywiście, z małego saloniku stykającego się z sienią, wybiegł naprzeciwko nim pan Mercier, kilka pań i panienek z Kergoat i Melina, prawdziwie zachwycająca w białej sukni przybranej niezapominajkami, które także przystrajały jej złociste włosy; a że była ogólnie kochaną, wszyscy witali ją z radością, ciesząc się że jest tak piękną i tak gustownie ubraną.

Melina poprawiła śpiesznie gierlandkę z granatów odbijającą pięknie od kruczych włosów Renaty, i właściciel la Rouërie wprowadził ją trochę drżącą i wzruszoną do sali balowej.

Z początku olśnił ją blask światła odbijającego się w wielkich lustrach, padającego na złocone obicia i kwiaty, ale po chwili spostrzegła panią de Sarrans, siedzącą za kłąbikiem ustawionym z wielkich i kwitnących kwiatów, w jasno wiśniowej aksamitnej sukni przybranej białemi koronkami. A! więc już wrócili z podróży! Wesoły i pełen ufności uśmiech ukazał się na ustach Renaty, gdy zbliżała się z żywością do tej nieocenionej pani de Sarrans, od której odebrała już tyle dowodów życzliwości!

Chciała jej podziękować że suknia zrobiona podług jej rady, wygląda tak pięknie, i pokazać jak ślicznie wyglądają opalowe konwalije przy balowem świetlę. Biegła więc do niej z błyszczącemi radością oczyma z ręką wyciągniętą na powitanie.

Nagle uśmiech z ust jej zniknął, ręka opadła; zdawało jej się że jakaś chmura otoczyła ją w koło... Pani de Sarrans zaledwie zwróciła ku niej głowę i rzekła z zimnym i wymuszonym uśmiechem:

— A! panna de Plouernel!.. bardzo się cieszę że cię tu spotykam... Jestem pewna że będziesz miała dziś świetne powodzenie... masz śliczną toaletę.

— Nie mogło być inaczej, odpowiedziała Renata drżąca lekko, ale nie dowierzająca jeszcze własnym oczom i uszom. Wszakże to pani dała do niej pomysł.

— Czy rzeczywiście ja? odpowiedziała z namysłem, jakby jej trudno było przypomnieć to sobie. A! tak, prawda... To już tak dawno... blizko trzy tygodnie. Doskonale wykonałaś myśl moją... dla tego też możesz być pewną szalonego powodzenia... Patrz, oto już jeden z twoich tancerzy zbliża się do ciebie.

Pani de Sarrans mówiąc te słowa, wskazała jej ręką nadchodzącego rzeczywiście Alfreda, i zwróciła się do swej sąsiadki z taką żywością jakby rozmowa z nią była dla niej nader przyjemną i zajmującą.

Renata zbladła, zachwiała się i o mało co nie zemdlała, ale trwało to zaledwie chwilę, duma obrażona i uczucie własnej godności dozwoliły jej zapanować nad sobą, i gdy zwróciła się do Alfreda oczy jej błyszczały promiennym blaskiem, a na usta wrócił uśmiech.

— Prosisz mnie Alfredzie do pierwszego kontredansa?... I owszem... Tylko zdaję mi się że już przyrzekłam go komuś.

Przesunęła lekko ręką po czole jakby chciała sobie coś przypomnieć, a rzeczywiście chcąc otrząsnąć się z bolesnego zdumienia i ukryć lepiej wzruszenie.

— Jeźli panu de Sarrans, to jesteś zupełnie wolna, Renato, odpowiedział zachmurzony Alfred. Pan Gaston nie przyjedzie tu dziś wcale. Słyszałem jak pani de Sarrans mówiła do mego ojca że jest obecnie w Berry.... u jednego z przyjaciół, i że tam pozostanie przez cały sezon polowania.

— A! tak, masz słuszność, Alfredzie, to pan de Sarrans prosił mnie o pierwszego kontredansa. Mogę więc tańczyć z tobą skoro sobie życzysz... Jakiż to piękny salon.. Pan Mercier musi być bardzo zadowolony: ma tak dobrane towarzystwo, a nasza droga Melina taka śliczna!...

Mówiła to na pozór spokojnie i wesoło, a jednak dotkliwy ból przejmował jej serce. Wszakże Gaston de Sarrans mówił do niej tyle razy w dniu jej imienin: — Panno Renato, wszak pani będzie tańczyć ze mną na balu w la Rouërie.... Gdyby nie to że pani tam będzie, nie przyjęlibyśmy zaproszenia... Ale dla nas obecność pani może uczynić wszystko miłem, pięknem, pożądaniem.”

Tak nie dawno mówił to do niej, a jednak odjechał!... odjechał nawet bez pożegnania. Matka zaś jego dla tego tylko pozostała, aby tem wyraźniej odepchnąć od siebie pogardliwym uśmiechem i spojrzeniem tę, którą zdawała się być tyle razy gotową nazwać swą córką. Czemuż byli tak okrutni? zadawała sobie pytanie tańcząc ciągle, i zmuszona wezwać na pomoc całą moc duszy i uczucie osobistej godności, aby nie zdradzić jakąś chmurką na czole, jakiemś spojrzeniem goryczy przepełniającej jej serce. Aby ułatwić sobie to zadanie, odwracała starannie oczy od tego miejsca, w którem ukazywała się za kwiatami jasno-wiśniowa aksamitna suknia.

Szczęściem, w tym rogu salonu, w którym tańczyła, znajdowały się inne drogie jej twarze, których widok uspakajał jej serce i dodawał jej siły. W temże samem kole tańczył Gwidon z Meliną, a nie daleko od niej siedziała margrabina i spoglądała z miłością i dumą na swą ukochaną Renatę.

— O! dla czegoż miałabym się smucić! Czy mogę być nieszczęśliwą? myślała Renata. Czy nie pozostało mi jeszcze tyle osób kochających mnie szczerze, prawdziwych przyjaciół, których uczucia są szczere i niezmienne... Uspokoj się serce moje. O cóż ci zresztą idzie? Będziesz musiało jedną wiosnę wymazać z pamięci, i nic więcej?... Wszakże ciotka Sylwia przestrzegała mnie już dawno że piękne dni krótko trwają.

Nagle gorzka myśl zamąciła znów spokój, który już zaczęła odzyskiwać. Pani de Sarrans i syn jej zmienili się dla niej nagle: to nie ulegało wątpliwości, ale obiecywała sobie, że nie będzie to dla niej powodem długotrwałej boleści. Lecz czemu zmienili się tak bez żadnego widocznego powodu? To pytanie właśnie zaniepokoiło Renatę. Jednak nie przyszło jej nawet na myśl aby powodem tego mogła być jakaś potwarz na nią rzucona. Czuła, że dzięki samotnemu i czystemu życiu, jakie pędziła pod okiem babki, była wolną od najlżejszego nawet podejrzenia. Ale w takim razie miałożby to dotyczéć kogoś z jej rodziny?... Samo to przypuszczenie wywołało silny rumieniec na twarz Renaty, podniosła dumnie głowę i oczy jej zabłyszczały bolesnem oburzeniem. Ciotka Sylwia była kobietą nieposzlakowanej prawości charakteru, babka prawie świętą. Jej drogi Gwidon, jako chłopiec nie mający jeszcze dwudziestu lat, był może zbyt żywy, roztrzepany, ale szlachetny, i nigdy nie uczynił, nawet nie powiedział nic takiego, przez co mógłby zasłużyć na naganę. Matka, niestety! dawno już umarła, w dwudziestym piątym roku życia, jaśniejąc zarówno pięknością jak rzadkiemi cnotami.

Ojciec jej... A! może powiedziano im coś niekorzystnego o jej ojcu... Wiedziała jakim sposobem zakończył tak przedwcześnie życie. Z kilku gorzkich słów ciotki Sylwii domyśliła się że przez swą rozrzutność i zamiłowanie w zbytkach ciągle niepokoił i zasmucał swą matkę, a nakoniec doprowadził całą swą rodzinę do upadku.

— Zapewnie to jej musiano powiedzieć, pomyślała oblewając się silnym rumieńcem; musiała usłyszéć jakąś niecną potwarz... Inaczej nie możnaby powiedzieć nic uwłaczającego honorowi mego ojca; wszakże dla uchronienia go od najlżejszej skazy, nieoceniona babka nasza poświęciła całe nasze mienie, wszystkie nasze nadzieje, wyrzekła się nawet starego rodzinnego gniazda... Ta kobieta wie-

działa o tem dobrze, gdyż sama raz na spacerze pokazywała jej zamek w Plouernel, mówiąc że tam mieszkałyśmy dawniej.

Dręczyła ją ta myśl że pani de Sarrans i Gaston dla tego nie chcieli widzieć w niej przyjaciółki, córki, żony, że dostrzegli jakąś skazę na jej nazwisku. Biedna Renata, jakże jeszcze była niedoświadczoną! Alboż to przedewszystkiem nazwiska bez skazy poszukują tak gorliwie modni i wyrachowani panicze i ich światowe mamy?

Tak więc znów niewysłowiona gorycz przepełniła serce Renaty, a jednak musiała ukrywać ją starannie, bo na balu nie wolno płakać ani być smutną, tem więcej gdy nas otacza rój wielbicieli i przyjaciół ubiegających się o życzliwe słówko, spojrzenie, taniec jakiś lub przyjazny uśmiech. Następnie margrabina odjechała, a Renata była zmuszoną pozostać jeszcze, ponieważ dawniej już przyrzekła Melinie że od niej nie odjedzie aż do końca balu. Cóżby więc babka pomyślała gdyby teraz chciała wrócić z nią do domu? Coby powiedziała ciotka Sylwia zobaczywszy ją tak wcześnie w Goëllo? Trzeba więc było pozostać, tańczyć, rozmawiać, uśmiechać się, a nawet śpiewać. Dopiero nad ranem uczuła się tak znurzoną, że zapragnęła odpocząć trochę.

— Bawią się teraz tak ochoczo, pomyślała, że może nie spostrzegą mej nieobecności. Udała się do małego saloniku, który Melina zamieniła na ten wieczór na budoar-Pompadour, usiadła na podstawie posągu stojącego w obszernej niszy, i zasłoniła się zdobiącemi ją draperyami.

Ale wkrótce weszło do budoaru kilka młodych panienek zmęczonych tańcem lub gorącem panującem w sali balowej, i głosy ich wyrwały Renatę z głębokiego zamyślenia, i zamierzała już wyjść z ukrycia, gdy zadrżała nagle posłyszawszy swoje imię wymówione głosem dobrze jej znanym.

— Cieszę się bardzo że panna Renata nie wzięła tego zbyt do serca, mówił ten głos. Czy pani uważała jak ochoczo dziś tańczyła?.... Ah! wielka szkoda, pani Babillon, wielka szkoda!... Jest tak piękna i miła!

— Procz tego z pięknej familii, dobrze wychowana... Nie byłby to znów tak zły interes dla pana Gastona.

— Ale na cóż się to wszystko zdało, kiedy biedna jak mysz kościelna. To wszystko co mi pani powiedziała o majątku jej ciotki, jest tylko fałszywą pogłoską jakie często krążą po świecie. Pan Mercier powiedział mi to wyraźnie, gdy udałam się do niego żądając potrzebnych objaśnień. Całe nadzieje familii polegają na przypuszczalnem powodzeniu pięknego Gwidona. Panna de la Trémarais nie ma nic prócz mało znaczącego dochodu, dla tego też jej piękna siostrzenica zostanie prawdopodobnie starą panną.

— A to nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! odezwała się z ubolewaniem pani Babillon, potrząsając głową a jednocześnie wstęgami zdobiącemi jej czepek.

— Jest to nadewszystko bardzo bolesnem dla mnie, kochana pani Babillon... Tworzyłam tak piękne zamiary! cieszyłam się że nakoniec znalazłam synowę według mego serca. Ta śliczna Renata nie należy do rzędu tych kobiet z któremi możnaby się ożenić po to aby je następnie zamknąć w domu... Chciałoby się nią pochwalić, stworzyć dla niej ramy odpowiednie do jej piękności i talentów, a utrzymanie w Paryżu tak straszne drogie, toalety tak kosztowne!... Szczęściem, mój kochany syn mniej cierpiał nad tem niż się tego obawiałam, ale też starałam się zawsze wpajać w niego tylko praktyczne zasady!... Skoro już dowiedzieliśmy się od notaryusza jak rzeczy stoją, dałam mu do zrozumienia że nie pozostaje mu uczynić nic innego jak wyjechać natychmiast, i wyjechał... No! nie mówię aby mu to nie sprawiło przykrości, ale kto mieszka w Paryżu, wie ile kosztuje utrzymanie domu na trochę wyższą skalę! Co do mnie, pozostanę tu do końca lata: nie chcę, ma się rozumieć, aby powiedziano że uciekłam dowiedziawszy się że ta biedna panna Renata nie ma ani grosza; lecz to pewna że na przyszły rok nie pokażę się już w la Tremblade. Pojadę do Burgundyi, gdzie zresztą zapraszano nas usilnie. Idzie tu o pewną bogatą pannę... O! nie spodziewam się nawet aby była równie piękną, miłą i ukształconą jak panna Renata... jest to córka bogatego właściciela winnicy... No! mam nadzieję że z czasem Gaston się pocieszy.

— Tak, potwierdziła pani Babillon; czas jest najlepszem lekarstwem na wszystkie cierpienia.

Zmieniły przedmiot rozmowy; śmiały się, obmawiały trochę, a nakoniec wyszły z budoaru, pozostawiając w niszy drżącą i bladą Renatę, która doznała jednocześnie wielkiej ulgi i wielkiego cierpienia. Dzięki Bogu, pamięć jej ojca nie została naruszoną, pozwolono mu spoczywać spokojnie w grobie, a jej samej nie zarzucano także nic prócz braku pieniędzy. O! jakże byli wyrachowanymi ci przyjaciele umiejący mówić tak pięknie i uśmiechać się tak czule! Więc taki jest ten świat, świat, o którym ciotka Sylwia wyrażała się zawsze tak cierpko, a którego ona dotąd nie znała. O! ciotka Sylwia słusznie czuła niechęć i pogardę dla tego świata, w którym ludzie szczęśliwi, rozważni, znający zarówno wymagania mody jak warunki życia, mogą łudzić młode i niedoświadczone dziewczę pozorami najgorętszej życzliwości, które jednak nie zobowiązują ich do niczego względem niej, skoro nie ma posagu. O! jakże muszą cierpieć biedne serca prawe i szlachetne zmuszone żyć wśród tego pełnego zasadzek świata! Jak wśród samolubstwa i obłudy odgadnąć prawdę i szczere uczucie?... Dla siebie Renata nie obawiała się już niczego, czuła że przeszła stanowczą próbę i nabrała doświadczenia. Ale ileż musiała ucierpić ciotka Sylwia, skoro nauczyła się cenić świat według jego rzeczywistej wartości. Ile może ucierpić kiedyś jej drogi Gwidon, tak pełen ufności i tak szlachetny!

XII.

Pocieszona.

Renata wyszła ze swego ukrycia, i marząc tak, stała blada, niewzruszona z rękami wspartemi na poręczy fotela, gdy Melina wbiegła do budoaru.

— Co ci jest, droga moja Renato? zawołała biorąc ją za rękę. Jesteś tak blada i wyglądasz tak jakbyś się przebudziła z jakiegoś snu przykrego.

— Może też rzeczywiście marzyłam i przebudzono mnie nagle, odpowiedziała Renata ze smętnym i łagodnym uśmiechem.

— Pfe!.. Któż słyszał marzyć na balu? Alfred szuka cię wszędzie, kotylion cię wzywa! Lepiej tańczyć, mój aniołku, niżeli oddawać się marzeniom.

— Przebudziłam się też już zupełnie... Jesteś przy mnie, uśmiechasz się i kochasz mnie... I Gwidon także... Patrz i on mnie szuka, i zdaje się niespokojny, dodała już z promiennym uśmiechem.

Pobiegła do brata, wróciła z nim do salonu i tańczyła do białego dnia.

Jednakże rany zadawane z tak zimnem okrucieństwem nie zabliźniają się tak prędko. Dla tego też i w sercu Renaty odezwała się przytłumiona na chwilę boleść, jak tylko wróciła do Goëllo, które w kilka dni później wydawało się jeszcze samotniejszem jak zwykle. Gwidon wrócił do Paryża i odjechał niespokojny, wzruszony, a przy pożegnaniu rzekł do siostry:

— Renato, odjeżdżam unosząc z sobą tajemnicę... Ale ty dowiesz się jej wkrótce... za kilka dni odbierzesz list ode mnie.

Otóż za każdym razem gdy Gwidon wyjeżdżał z Goëllo, pozostawiał po sobie smutek i próżnię; margrabina była w takim razie smutniejsza jeszcze i bardziej zamyślona, a teraz jeszcze zapytywała często, nie zwracając uwagi na uparte milczenie wnuczki:

— Dla czego pani de Sarrans nie bywa już u nas? Czy ją spotkało jakieś nieszczęście?... Podobno jej syn wyjechał nagle do Paraża.

Ciotka Sylwia słyszała już kilka razy to pytanie, i dziwiło ją to że Renata w takim razie pochylała tylko więcej głowę nad robotą, ale nie odpowiadała ani słowa. Otóż ciotka Sylwia nie lubiła wiele mówić, ale lubiła dążyć prosto do obranego celu, i teraz też postanowiła zbadać przyczynę milczenia Renaty, a jednocześnie znaleźć odpowiedź na pytanie margrabiny. W tym celu udała się do miasteczka. Czy tam przypadkiem tylko spotkała panią Babillon? tego nie wiemy. Dość że po dwugodzinnej z nią rozmowie, w ciągu której cierpliwość ciotki Sylwii była wystawioną na ciężką próbę, wracała smutnie do Goëllo jeszcze pochmurniejsza i sztywniejsza jak zwykle, mówiąc do siebie:

— Przewidywałam to od pierwszego na nich spojrzenia... Przeklęty dzień w którym przestąpili nasze progi!... Jakie prawo miała ta modnisia bawić sie kosztem istoty tak szlachetnej, że ona nie byłaby warta nawet rozwiązać jej trzewika.

Tak więc panna de la Trémaris wróciła do Goëllo smutna i rozdrażniona, i zaczęła natychmiast szukać Renaty! Znalazła ją nakoniec w małym pokoiku, gdzie często siadała z robotą, odwróconą od drzwi i zapatrzona na morze. Kroki ciotki Sylwii były jak zwykle dość ciężkie, a jednak Renata nie odwróciła się wcale.

— Zły znak! szepnęła panna de la Tremaris. Stała chwilkę zamyślona i dwie wielkie łzy popłynęły po jej zwiędłej twarzy na myśl o tej ciężkiej a ukrywanej boleści, której może biedna sama kiedyś doznawała, a która teraz spadła na jej ukochaną Renatę.

— Odwagi, biedna ciotko! nie czas teraz przywoływać wspomnienia i rozczulać się; trzeba pocieszyć, wzmocnić, uspokoić. Przysunęła się tak cicho, ostrożnie że w tej chwili trudno byłoby uwierzyć że nosiła podkute trzewiki. Zarzuciła rękę na szyję Renaty, przytuliła jej głowę do piersi i złożyła na jej czole długi pocałunek.

— Renato, moje dziecię, wiem wszystko, rzekła z westchnieniem.

Twarz Renaty pokryła się rumieńcem, ale tak przemijającym, że ciotka Sylwia odetchnęła swobodniej widząc że znikł tak prędko. Następnie Renata spokojnie i z uśmiechem rzekła do ciotki, ściskając jej rękę:

— To *wszystko* jest jeszcze małą rzeczą. Sądziłam przez chwilę że jestem kochaną... Teraz poznałam moją pomyłkę... Droga ciociu, jestem pewna że są cięższe i głębsze cierpienia.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 29.

(Dokończenie.)

U dołu naszyty szlak 7 1/2 c. szeroki, wyszyty ściegiem krzyżowym białym, na tle z płótna szafirowego; pomiędzy dwoma pasami kratek ażurowych, których próbki załączamy na ryc. 30—32, wszyty 8 1/2 cent. szeroki pas z ponsowego szwajcarskiego perkalu, naszyty nicianą koronką i ozdobiony haftem jak na ryc. 27, lub wyszyty ściegiem pośpiesznym białym jak na ryc. 26. Na zeszyciu kratek z kolorowemi pasami, przystębnowane są ponsowe, biało wyszyte listewki. Na górnej części fartucha, na tle białem, wyszyty deseń krzyżowy bawełną szafirową, ponsową i niebieską.

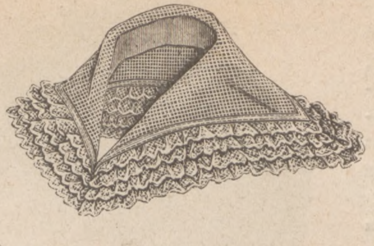


N. 1. Kołnierz okrągły z szeroką koronką.



N. 3—4. Stanik z chusteczkowem przybraniem.

N. 4. Bluzka z przemarszczeniem (coulissé.)



N. 2. Kołnierz z prostemi brzegami oszyty wązką koronką.



N. 5. Suknia strojna z hiszpańskim kaftaniczkiem.



N. 6. Suknia z długim stanikiem.

N. 33—34. Kapelusze dla małych dziewczynek.

Ryc. 33 przedstawia kapelusz biały słomkowy, z rondkiem podszytem niebieską przemarszczaną materyą, ubrany wstążką w atłasie 3 cent. szeroką i bukiecikiem niezapominajek.

Na ryc. 34 kapelusz słomkowy podszyty gładko atłasem ciemno-ponsowym, ubrany wstążką paljową 5 cent. szeroką i różnokolorowemi polnemi kwiatkami.

N. 35. Suknia krótka ze stanikiem zapiętym pod szyję. Plecy na ryc. 22 w N. 40, model kroju na ryc. 19.

Ryc. 35 i 22 przedstawia suknię odrobioną z materyału letniego, gładkiego i w paski, któren w garnirunku jest używany naprzemian, draperya z przodu jest z materyału w paski, a upięcie z tyłu z bryta gładkiego. Pierwsza jest z boków sfałdowana do 60 c. długości, a u dołu przyszyta pod garnirunkiem. Ubranie stanika i patki kieszonkowe gładkie, pod temi ostatniemi przyszyte są szarfy w paski, zawiązane z tyłu na baskinie frakowej.

N. 36 i ryc. 21 w N. 30. Suknia z trenem i wyciętym stanikiem.

Ubranie dla młodej osoby na obiad proszony lub na uroczystość weselną, odrobione było z gładkiego różowego muślinu, suto ozdobionego żółtawą koronką vermicelle, 3 cent. szeroką, którą oszyte są falbanki 6 cent. szerokie i kilka razy ogarnirowany



N. 7. Szalik włoski robiony na drutach. Patrz ryc. 29.



N. 8. Ręcznik z wyszyciem i koronką.



N. 9. Ręcznik z haftem w starcświeckim guście

wykrój stanika, plastron i krótkie rękawki. Draperya szalowa schodząca się z tyłu pod długiemi, 28 cent. szerokiemi puklami, z podwójnie wziętego muślinu, oszyta jest u dołu dwoma, jedna na drugą zachodzącemi falbankami z koronką. Na baskinie pleców przypięta kokarda z krótkiemi, na pukle spuszczonemi końcami. Głowa ubrana wązką wstążką i różami.

N. 37—38. Krosienka na postumencie.

Liczą 75 cent. wysokości, 104 cent. długości i za pomocą szruby mogą być od 20 do 52 cent. rozszerzone i stosownie do potrzeby w tę lub ową stronę obracane. Podłużne boki krosienek składają się z dwóch, jedna na drugą zakładanych części, w spodniej wbite są gwoździki na które zakłada się materyał do haftu, a następnie przyciska go zwierzchnia połowa.



N. 12. Kapelusz krepowy do żałoby.



N. 10—11. Ubrania żałobne.

N. 10. Suknia z plisami krepowemi. N. 11. Suknia z plisowanemi falbanami.



N. 13. Czepeczek krepowy do żałoby.

N. 40. Plecy do ryc. 1 w N-rze 27.

Opis do N-ru 30.

N. 1. Kołnierz oszyty szeroką koronką.

Okrągły wykładany kołnierz, z tyłu 8 cent szeroki, ku przodowi wązko ścięty, kraje się z cieniutkiego płótna podług formy do ryc. 22 w N-rze 27 Tygodnika Mód. Brzegi oszyte są koronką 6 cent. szeroką.

N. 2. Kołnierz ogarnirowany wązką koronką.

Przykrojony z żółtawej kanwy de congrès, liczy z tyłu 5 c. szerokości; brzegi dolne ma ścięte prosto i ogarnirowane czterema rzędami wązkiej walansjenki naszytej na tiulu; przy górnym rzędzie przystębnowana pliska z białej materyi.

N. 3—4. Staniki do sukien dla młodych panienek.

N. 3. Stanik z chusteczkowem przybraniem.

Dla osób szczupłych bardzo korzystne jest przemarszczanie na stanikach, ciągle utrzymujące się w modzie Nar. 3 widzimy stanik od sukni z niebieskiej satynki, zdobny przemarszczeniem chusteczkowem, środkiem którego dana koronka fałdowana wachlarzowo; brzegi dolne stanika również garnirowane kilkoma rzędami koronki.

N. 4. Bluzka z przemarszczeniem coulissé.

Krajana podług zwykłej formy, przemarszczana jest na wcięciu stanu na 10 cent. wzdłuż, brzeg dolny zakończony wypustką zachodzi na suknię. Chusteczka z indyjskiego muślinu ogarnirowana szeroką koronką, takaż koronka dana nakształt mankietów przy krótkich rękawach.

N. 5. Ubranie strojne z hiszpańskim kaftanikiem.

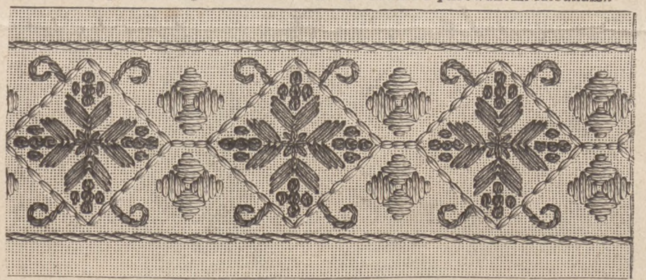
Spódnica z materyi jedwabnej przykryta jest falbanami z hiszpańskiej koronki. Staniczek gładki hiszpański z przodami rozchodzącemi się do tyłu odsłania stanik bawetowy i krótkie rękawki z drobno przemarszczanych bufek. Rycina 5 przedstawia białą atłasową suknię przysłoniętą koronkami; hiszpański staniczek z różowego atłasu ma brzegi oszyte torsadką ze złotemi grelotkami; szarfa spuszczona z tyłu ma podszewkę bladego rezedowego koloru. Przy wykroju szyi i u rękawków sute ogarsowanie koronkowe.

N. 6. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Strojna suknia



N. 15. Suknia z krótką tuniką. Patrz ryc. 16—18.



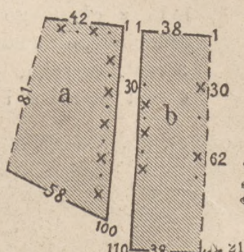
N. 14. Szlaczek wyszyty kolorowo.



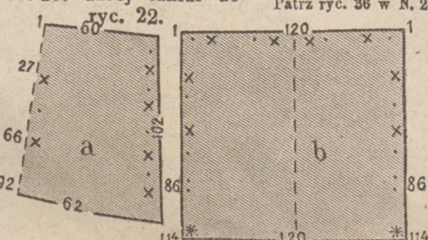
N. 16. Suknia z krótką tuniką. Patrz ryc. 15.



N. 21. Suknia z trenem wyciętym stanikiem. Patrz ryc. 36 w N. 29.



N. 19. Krój tuniki do ryc. 22.



N. 20. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 24 i 41.



N. 22. Suknia ze stanikiem pod szyję. Patrz ryc. 35 w N. 19.



N. 23. Suknia z fałdowaną tuniką.



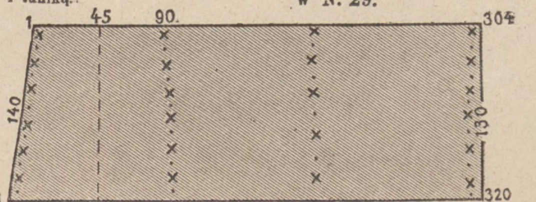
N. 24. Suknia z długim stanikiem i tuniką.



N. 18. Krój karoczka do r. 16.



N. 25. Krój vêtement do ryc. 1 i 39 w N. 29.



N. 17. Krój tuniki do ryc. 15—16.

odpowiednia na obiad proszony, zebranie wieczorne lub do teatru, uszyta jest z białego atłasu i zdobna koronką wyszywaną cieniowanym jedwabiem. Przód tuniki w górze przemarszczany drobniutko (coulissé) na 20 c.



N. 27. Paletocik z marszczoną pelerynką.

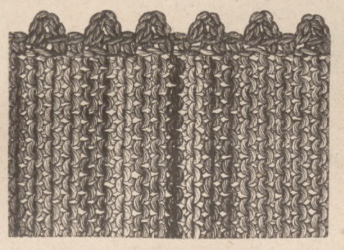


N. 26. Koronka wyszyta jedwabiem cieniowanym.

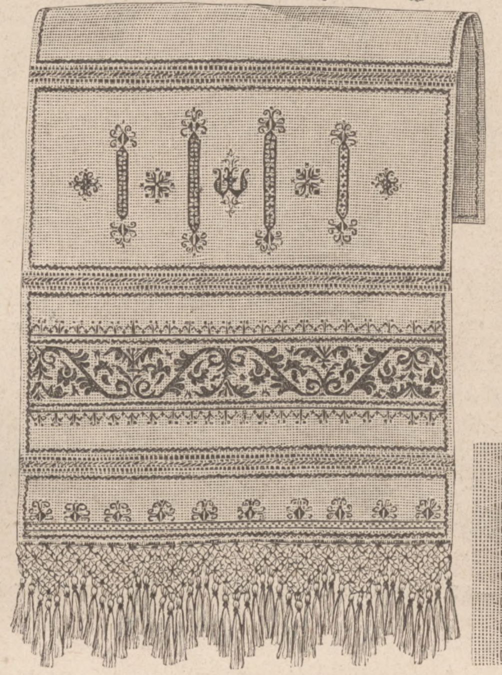
wzdłuż poniżej podpięty jest nakształt panier, a z boków po sfałdowaniu brzegi wpuszczone są w szwy sukni. Z pod gładkiej baskiny stanika, jak to wskazuje ryc. 6, wysuwa się jakby drugie panier spadające na tylne bryty sukni, suto podpinane.

N. 7 i 21. Szalik włoski robiony na drutach.

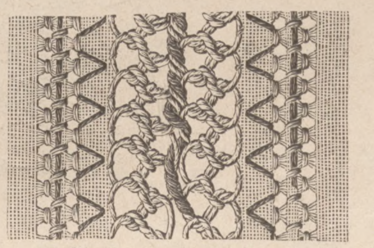
Naśladuje miękkie włoskie szaliki cieniowane, dające się zręcznie zarzucać na głowę i odrobiony jest na drutach gładko tam i napowrót z włoczki angielskiej, podług próbki ryc. 29; brzegi boczne zakończone są szydełkowemi ząbkami. Szalik liczy 196 cent. długości, 50 szerokości i robiony jest w pasy po 10 cent. szerokie, przedzielane wężemi kolorowemi paskami. Szerokie pasy liczą po 100 obrobień i są: ponsowy, żółty, niebieski, czarny, ponsowy, biały, niebieski, czarny, żółty i ponsowy; wązkie pasy liczą 46 obrobień w których zmieniają się wszystkie wyżej wypisane kolory z dodaniem zielonego; każdym kolorem obrabia się po dwa razy. Dolne brzegi szalika zakończone frendzlą.



N. 29. Robota na drutach do r. 7.



N. 30. Serweta z wyszyciem. Patrz r. 31—33.



N. 31. Sznurowanie łączące pasy do ryc. 30.

N. 10—13. Ubrania żałobne.



N. 28. Sukienka z fałdowaniem.

N. 10. Suknia z szerokiemi plisami krepowemi.

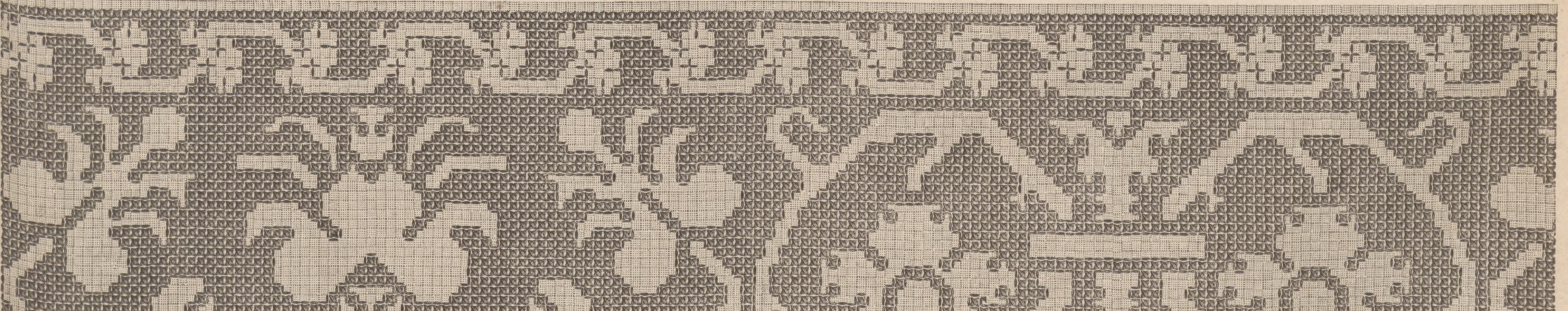
U dołu zakończona fałdowaniem 28 cent. szerokiem, powyżej którego z przodów i z boków dane naprzemian plisy z krepy angielskiej 11 cent. szerokie i bufowanie 12 cent. szerokie; środkiem przodu dane przepięcie krepowe 12 cent. szerokie. Z tyłu upięty bryt prosty. Długi gładki stanik z chusteczką i mankietami krepowemi.

N. 11. Suknia z plisowaniem.

Przód i boki sukni naszyte są trzema plisowanemi falbanami 15—20 cent. szerokiemi, zakończonemi u góry plisowaniem poprzecznem. Z tyłu dany wolant składany w kontrafałdy 30 cent. szeroki, a nad nim upięcie z prostego bryta. Krótkie vêtement ma dodane szalowe upięcie z bryta 68 cent. szerokiego, zebranego z boków w fałdy do 16 c.; pasek idący od boczków zapięty kokardą z matowej repsowej wstążki. Pelerynka z plecionki jedwabnej z frendzlą szalową. Kapelusz krepowy z woalem.



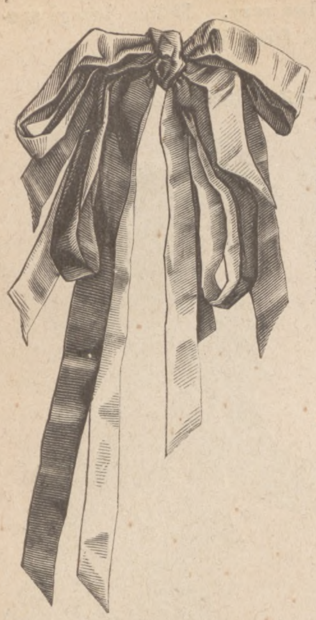
N. 32. Szlak na ścieg krzyżykowy do ryc. 30.



N. 32. Szlak [illegible] podwójny do ryc. 30.

N. 12. Kapelusz krepowy.

Fasonik kapotki pokrywa się gładko krepą, następnie kawałek skośny krepy 18 cent. szeroki a 210 długi przeprowadzony z przodu główki i z boków, spuszczony jest w dwa końce związane pod szyją; drugi skos równie 18 cent. szeroki a 22 długi, ufałdowany z tyłu główki. Bukiet z czar-



N. 34. Kokarda z kolorowej wązkiej wstążki.

nych jedwabnych liści i kwiatów dżetowych; rondko podgarnirowane riuszą.

N. 13. Czepeczek krepowy.

Podstawę czepeczka stanowi kawałek sztywnego tiulu ścięty w ząb z przodu, 22 cent. długi, 10 c. w środku, po $3^1/_2$ w rogach szeroki. Brzeg przedni garniruje się riuszą z podwójnej krepy, 2 cent. szeroką; końce do wiązania liczą po 12 cent. szerokości a po 90 długości, pukle w kokardzie są 11 cent szerokie a 8 i 11 cent. długie. Zamiast denka do tyłu spuszczone są dwa szerokie końce po 43 cent. długie.



N. 36—37. Kapelusz „Beauharnais" i kołnierz z koronką.

N. 15 — 18. Suknia z krótką tuniką.

Ryciny 15 i 16 przedstawiają też samą suknię z przodu i z tyłu, ze z mianą tylko w garnirunku spódnicy; każdy letni miękki materyał może tu być zastosowany: zarówno płótno, perkal, muślin, jak materya wełniana lub jedwabna albo gaza. Przybranie stanika pozwala bardzo efektownie zużytkować koronkę ręczną, siatkową lub droższą, stosownie do upodobania. *(D. n.)*



N. 35. Kokarda z szerokiej cieniowanej wstążki.



N. 38. Sukienka z bluzkowem vêtement. N. 39. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 17. N. 40. Suknia przepięta szarfą. N. 41. Suknia ze stanikiem i tuniką. Patrz ryc. 24. N. 42. Suknia z krótkiem vêtement.